

**JANUSZ
KORCZAK**

DZIECKO
SALONU

Janusz Korczak

Dziecko salonu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844130

Dziecko salonu:

Аннотация

Dziecko salonu to zaskakująca powieść modernistyczna. Wyrasta z tej formacji kulturowej, ale ją rozsadza, pozostawiając czytelnika w pewnym zdumieniu. Można ją bowiem odczytywać na wielu poziomach: jako krytykę mieszczańskiej moralności, apoteozę indywidualnego buntu, a także jako opowieść o krzywdzie ludzkiej i cierpieniu, determinujących życie jednostki, ale i całych pokoleń (o krzywdzie dziedzicznej). Bohaterem i narratorem jest syn fabrykanta mydła, który po powrocie z zagranicy nie może odnaleźć się w mieszczańskiej rzeczywistości. Po próbie samobójczej opuszcza dom i schodzi po drabinie społecznej, poszukując prawdziwego życia i materiału na książkę. Odkrywa on przede wszystkim krzywdę istnienia – swojego i cudzego. Jest to tak dojmujące, że bohater przestaje notować, milknie, a powieść kończy się jego krzykiem. To nie jest powieść dla dzieci, chociaż są one jej bohaterami. Na ich przykładzie bowiem najjaskrawiej widać niesprawiedliwość i krzywdę społeczną. Co istotniejsze, dzieci są urabiane przez rodzinę – swoisty aparat ucisku – tresowane do swych ról. Ograbia się je z człowieczeństwa, tłumi w nich potrzeby duchowe i wyższe instynkty, by spełniały oczekiwania rodziców i społeczeństwa –

dotyczy to tak samo rodzin mieszczańskich, jak proletariackich. Warto zwrócić uwagę na formę powieści. Choć zasadniczo jest ona rodzajem pamiętnika, wewnątrz znajdują się szkice literackie bohatera, pomysły powieściowe, późniejsze jego redakcyjne poprawki (często o charakterze autoironicznym). Z dzisiejszego punktu widzenia stanowi intrygujący eksperyment formalny, od którego nie odżegnałby się późniejszy o sto lat postmodernizm.

Содержание

Pudel	5
Pierwszy dzień w gnieździe rodzinnym	9
I	9
II	14
III	16
IV	17
V	18
VI	19
Dusza moja ziewa	21
Bez nadziei	28
Dziecko salonu	36
Wróżba	52
Precz	59
Bez steru	75
Grzech marzyć	86
Конец ознакомительного фрагмента.	95

Janusz Korczak

Dziecko salonu

Pudel

Śniło mi się, że jestem pudlem.

Miałem sierść wygoloną. Było mi cokolwiek chłodno w tym stroju, ale widziałem, że mój pan jest ze mnie zadowolony, więc wesoło machałem ogonem i patrzyłem mu w oczy.

Na szyi miałem ładną, błyszczącą, cokolwiek ciasną obrozę – i znak, że jestem opłacony, że mam właściciela, który mnie karmi i poi, że należę do klasy uprzywilejowanej.

Było mi dobrze na świecie. Pchły mnie nie gryzły: codziennie mnie czesano. Ani kłopotów, ani obowiązków. Jednakże musiałem być posłuszny i wierny, a przy tym w miarę roztropny, gdyż żąda się tego od każdego psa zwyczajnego, a cóż dopiero – od pudła.

Mój pan nie prowadził mnie na smyczy podczas wspólnych przechadzek. Mogłem wyprzedzić go o kilka kroków, zboczyć lub cofnąć się i biec za nim; mogłem zatrzymać się dla obwąchania ściany domu lub latarni; mogłem pędzić za dorożką i czekać na konie, oglądać się za przechodzącymi suczkami lub zaglądać do bram i sklepów, obok których przechodziliśmy.

Od czasu do czasu mój pan szukał mnie oczami, a wówczas

nadbiegałem pośpiesznie, okazując mu obłudnie wielkie zadowolenie, aby nie bronił mi owych niewinnych rozrywek; stanowiły one jedyną rozmaitość w nudnej przechadzce po ludnych ulicach miasta, gdzie co krok musiałem zρέcznie wymijać przechodniów, by nie być potrąconym lub nadeptanym. Już to ludzie strasznie są nieuważni.

Wprawdzie ten i ów zwracał na mnie uwagę, cmoknął ustami, obejrzał się za mną lub pogłaskał. A ja, stosownie do wrażenia, jakie wywierał na mnie przygodny znajomy, przebiegałem obok obojętnie, machnąłem mu w podzięce ogonem, a czasem cichutko warknąłem. Warczałem cicho, by nie słyszał ani on, ani, co najgłówniejsze, mój pan. Bo mój pan był niezmiernie wrażliwy na każdy przejaw złego wychowania mej pudlej osoby.

Zdarzało się jednak i tak, że ktoś z przechodniów silniej mnie zajął i od razu zyskiwał moją sympatię. Wówczas biegłem za nim kilkanaście kroków, ale wnet powracałem do swego pana, łasząc się i patrząc mu w oczy, by nie wzbudzić w nim podejrzeń co do mej psiej wierności i wdzięczności, i nie narazić się na gniew, który był mi niemiły.

Przede wszystkim ceniłem spokój i pogodę.

Sny bywają bajecznie nielogiczne. Już sam fakt, że człowiekowi śni się, że jest pudlem, wydaje mi się dziwny. Jednakże druga część snu była jeszcze mniej zrozumiała.

Oto razu pewnego jeden z przechodniów spojrział na mnie i miał rzec: „jaki to ładny piesek” – powiedział poważnie, z głębokim smutkiem w oczach:

– Ten pies ma kaganiec na duszy.

Jest to coś przekraczającego wszelkie granice logiki.

Po pierwsze, nigdy żadnemu człowiekowi nie przyszłoby do głowy zastanawiać się nad duchową istotą pudła lub boleć nad jego upodleniem; po drugie, jeśliby się coś podobnego zdarzyło, pudel nie zrozumiałby przecież jego ludzkiej mowy.

A ja nie tylko rozumiałem znaczenie przerośnięci, ale i odczułem ją głęboko.

W jednej chwili przyszło całe moje zadowolenie z życia; to co uważałem dotychczas za naturalne i zupełnie słuszne, wydało mi się nieznośnym i wstrętnym. Zmieniłem się nie do poznania. Posmutniałem, stałem się opryskliwym i nieposłusznym; straciłem apetyt i sen. Nie smakowało mi jedzenie wykwintne, nie odczuwałem zadowolenia, gdym rozciągał się na spoczynek na puszystym, ciepłym dywanie przy piecu; nie cieszyły mnie pieszczoty mego pana i jego rodziny. Nie chciałem wykonywać tak łatwych dla mnie, uczonego pudła, sztuczek, jakimi są: chodzenie na dwóch łapach, aportowanie lub trzymanie na własnym nosie cukru, gdy ktoś z obecnych grozi mi palcem, powtarzając: „nie rusz, nie ru-u-sz”. Uważałem, rzecz śmieszna, że to mnie poniża – i unikałem ludzi.

Stosunki moje z domem mego dobroczyńcy z dnia na dzień się pogarszały. Aż doszło do tego, że podczas wymierzanej mi kary ugryzłem pana mego w rękę.

Był to wypadek tak niezwykły, tak nieliczący z moim dotychczasowym charakterem, tak niezrozumiały wobec

starannego wychowania, które otrzymałem, tak wreszcie potworny, jeśli zważymy cały ciężar jego dla mnie dobrodziejstw – że postanowiono mnie bez zwłoki zastrzelić, a jego natychmiast odwieźć pod obserwację do doktora Palmirskiego¹.

Pan mój zdjął ze ściany dubeltówkę, wycelował i wystrzelił.

Zdaje mi się, że nie trafił...

I obudziłem się.

¹ *Palmirski, Władysław* (1861–1940) – warszawski lekarz bakteriolog, zajmował się między innymi szczepieniami przeciw wścieklicznie. [przypis edytorski]

Pierwszy dzień w gnieździe rodzinnym

I

Moja rozmowa ze Stefcia.

Stefcia liczy siedemnastą wiosnę życia.

– O tak, rozumie się. To jest wielki poeta: pisze bardzo ładne wierszyki. Choć z drugiej znów strony...

– Co z drugiej strony?

– Nic z drugiej strony. Ja tylko tak sobie powiedziałem. Pani ma słuszość.

– Mam słuszość? Kiedy pan wcale nie wie, o czym ja mówię.

– Ależ wiem. Pani mówi o wielkim poecie.

– A czy on żyje?

– Rozumie się, że żyje. Dlaczego by wielki poeta nie miał żyć?

– No, to niech pan powie, jak on się nazywa.

(Jesteś, moja mała, taka śliczna, że wszyscy wielcy poeci całego świata tyle mnie obchodzą, co zeszłoroczna zima).

– No, widzi pan. Czy to tak ładnie? Nie słucha pan, daje pan odpowiedzi ni przypiął, ni przyłatał. I w ogóle tak, jakby mi pan łaskę robił.

– A panna Stefcia gniewa się na mnie?

– Rozumie się, że się gniewam.

– I panna Stefcia nie chce już ze mną rozmawiać?

– Rozumie się, że nie.

– No, to niech panna Stefcia weźmie jeszcze kawałek mięsa.

– Nie chcę; dziękuję bardzo... Doprawdy, co się z panem zrobiło? Taki pan jakiś dziwny.

– A pani nie pamięta, że ja zawsze byłem taki jakiś dziwny?

– Ale dziś pan taki jakiś zamyślony, zamiast się cieszyć.

– A dlaczego to panna Stefcia każe mi się cieszyć?

– Niby pan nie wie. Przecież to pana siostry zaręczyny.

– Ale przecież moja siostra nie dziś się zaręczyła.

– Ale to są oficjalne zaręczyny.

– No, kiedy to są oficjalne zaręczyny, to niech panna Stefcia weźmie jeszcze łyżeczkę kompotu.

– Niech mnie pan przestanie nazywać ciągle panną Stefcia.

– A dlaczego ja nie mam nazywać panny Stefci panną Stefcia?

– Bo nie mam dwunastu lat.

– A ile panna Stefcia ma lat?

– Ile mam, to mam.

– Więc jakże ja mam nazywać pannę Stefcie, kiedy panna Stefcia, ile ma, to ma, lat.

– Proszę mnie wcale nie nazywać.

(Czuję ogromne zadowolenie z gadania od rzeczy. Żal mi dzieciaka, ale nie mogę inaczej. Jaka to **już** kobieta).

– Naprawdę, taka jestem zła na pana. Tyle czasu nie widzieliśmy się. Tyle pan podróżował, tyle pan widział.

– To ja mam opowiedzieć wszystko, co widziałem?

– Myślę, że to byłoby ciekawsze niż takie bajanie.

- Kiedy ja nie mogę wszystkiego opowiedzieć.
- Ciekawa jestem bardzo, dlaczego?
- Boby się pani mama na mnie gniewała.
- O, niech się pan nie obawia.
- To mama by się nie gniewała?
- Panu się ciągle zdaje, że jestem dzieckiem. A pan to niby taki dojrzały człowiek.
- Rozumie się, że jestem dojrzały.
- Ciekawam bardzo, dlaczego?
- No, bo ja mam już wąsy, a panna Stefcia nie ma jeszcze wąsów.
- To chyba.
- Bo ja palę papierosy, a panna Stefcia nie pali papierosów.
- Jakbym chciała, tobym paliła.
- A panna Stefcia nie chce?
- Nie chcę.
- No, to niech panna Stefcia weźmie bardzo dużo lodów. A potem będziemy pili wino szampańskie.
- Ale pan tyle już pił.
- Muszę pić, bo to są przecież oficjalne zaręczyny siostry.
- A pan powie toast?
- Pan nie powie toastu.
- A jak ja pana poproszę?
- To także nie powiem.
- A jak ja pana bardzo poproszę?
- To panna Stefcia umie bardzo prosić? A jak to się bardzo

prosi?

– Jaki pan niedobry.

(Rozkosznie zepsuty dzieciak. Tak mało wie, a tak wiele przeczuwa).

– Czy pani umie flirtować?

– Niech pan nie nalewa, bo nie będę piła.

– To pani tak kocha Jadzię; to pani tak dobrze życzy mojej siostrze? Bardzo ładnie... O, widzi pani, mama patrzy na panią i kiwa głową. Mama pozwala.

– Nie potrzebuję, żeby mama pozwalała albo nie pozwalała. Jak zechcę, to sama będę piła.

– A pani bardzo mamę kocha?

– O, widzi pan. Niech pan teraz nic nie mówi.

(Pierwszy toast).

– A teraz na pana kolej.

– Ale proszę wypić cały kieliszek.

– A powie pan toast?... Doprawdy, że to nieładnie: wszyscy wiedzą, że pan jest poeta.

– A czy ja także jestem wielki poeta?

– Nie, mały, uparty i nieznośny. Niech pan nie dolewa...

Cicho.

(Drugi toast: nasz lekarz fabryczny).

– Czego się pan śmieje?

– Bo bardzo lubię pannę Stefcie i tak się z tego cieszę.

– Jest z czego.

– I tak mi okrutnie wesoło, że aż strach.

– Bo mnie wcale.

– To panna Stefcia smutna? Biedna panna Stefcia.

– Bardzo proszę. Mówiłam, że pan za wiele pije.

(Trzeci toast).

– O, widzi pani – teraz za gospodarzy. To zupełnie co innego.

Teraz trzeba już wypić całutki kieliszek.

– Więc pan nic nie powie? Bo zaraz wstaną.

– Kiedy teraz już nie mam o czym. Jak pani bardzo chce, to powiem taki toast, żeby się cały świat mył naszymi mydłami i perfumował naszymi perfumami. To pani tatuś i mój tatuś zarobią bardzo dużo pieniędzy. Dobrze?

– Fe! jaki pan nieznośny.

– No widzi pani: fe!

– Niech się pan odsunie. Patrzą na nas.

– A gdyby nie patrzyli?...

Wstajemy.

Ogólne wrażenie:

Ptaszyno mała, jesteś urocza ze swą wstążeczką białą w czarnych włosach i swymi błękitnymi oczętami, patrzącymi z niezdrowym zaciekawieniem na świat przeczuwany; z policzkami zarumienionymi drganiem nieznanymi żądz.

Całowałbym, całował, całował – bez opamiętania.

II

Mama Stefci:

– Cóż, panie Januszu? Jakże moja córka? Gąsiątko jeszcze? Nic nie spowaźniała... Obserwowałam was (was – z naciskiem). Zdaje mi się, że pan pokpiwał z niej trochę. Straszny to dzieciak.

Pan jej rok cały nie widział?

– Panna Stefania bardzo spowaźniała.

– O, bo pan ogromnie się zmienił. Nic dziwnego: zagranica szalenie kształci. Ja wszystko zawdzięczam zagranicy.

– ?

– Cóż pan zamierza dalej czynić?

– Jak dotychczas, nie wiem jeszcze.

– Burzy się pan? Tak, ja rozumiem młodych.

– ?

– Długo pan bawił w Wiedniu?

– Tydzień.

– Cudowne miasto. Zwiedzał pan galerie, muzea? Ile razy przejeżdżam, zawsze muszę się zatrzymać. Ale pan pędził dalej. Rozumiem młodych.

– ?

– Ach, pan bawił dłuższy czas w Krakowie... Poznał pan tak zwaną Młodą Polskę².

² *Młoda Polska* – tu w znaczeniu: krakowska bohema artystyczna, cyganeria krakowska. [przypis edytorski]

– Niekoniecznie.

– Prawda, pan taki nietowarzystki... Czy pan sądzi, że z tego się coś wykluje?

– Owszem, bardzo być może.

– Ale nie Mickiewicz i nie Słowacki... Jakże Warszawa? –

Czy pan ma zamiar pozostać już w kraju?

– W tej chwili sam nie wiem jeszcze.

– Tak. Po zagranicy trudno się przyzwyczaić do Warszawy.

Choć z drugiej znów strony, ciągnie rodzina, stosunki. Jak to mówi przysłowie: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej...

Sądzę, że pan znów będzie u nas częstym gościem...

Poczekaj, babo – ze swoim: „rozumieć młodych”; – będziesz siedziała w powieści, i to na honorowym miejscu. Tylko twego starego trzeba zmienić.

III

– Cóż, poeto, myśleliśmy, że nam palniesz mównkę? Ja, stary, musiałem gadać za was, młodych. I to, panie, młodzież – młodzież z dyplomami, uniwersytetami, zagranicami, lichami. Wstyd!

(„Jowialnie”).

– Cóż robić? Takie teraz czasy.

– Czasy, nie czasy, tylko młodzież diabła warta. Nie czasy robią ludzi, ale ludzie – czasy... Cóż? nawłóczyliśmy się, a teraz znowu do orki? Ja tam pana zawsze broniłem. Cóż to złego, że sobie młody zrobił wakacje? Niech papa trząśnie workiem.

Klepie mnie po ramieniu.

– No co? Nie pogadasz pan ze starym przyjacielem? Jakoś głupio w rodzinie po rocznym fiu! fiu!... Ha, ha, ha, ha – co?

– Myli się pan. Ciepło rodzinne bardzo mile mnie grzeje.

– A grzeje, grzeje... Oj! filut z pana. Wiem ja coś o tym. No, chodźmy na cygarko.

I on rozumie młodych.

IV

Pan doktor:

– Cóż, kolego, jako syn marnotrawny powracacie na łono medycyny?

– Być może.

– Nie – może, a musi i powinno.

– Chyba na brak lekarzy pan doktor nie ma powodu się żalić. (Myśli sobie: poczekaj, smarkaczu, dam ja ci za to).

– Ha, powołanych dużo, ale wybranych mało. Ale po zapale, z jakim mimo protestów ojca wziął się kolega do naszej biednej medycyny – należałoby się spodziewać, że nasza biedna medycyna zyska w koledze jeśli nie fundament, to choć filar.

(I pojednawczo).

– Nie macie pojęcia, co tu teraz chorób. Bronchitis³, pneumonia⁴, tyfus⁵. Aż strach pomyśleć... Tak. Poezja i medycyna nie dadzą się połączyć żadną miarą. Tu trzeba pracować, pracować i jeszcze raz pracować. Nie ma czasu na marzenia. Zobaczycie sami: niewdzięczny zawód.

(Wwąchuje się w dym cygara – cynicznie wytworny).

³ *bronchitis* (z gr.) – bronchit, zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

⁴ *pneumonia* (z łac.) – zapalenie płuc. [przypis edytorski]

⁵ *tyfus* – choroba zakaźna znana pod kilkoma postaciami: brzuszny, plamisty, powrotny. [przypis edytorski]

V

– Bójdzie się Boga. Panny w salonie, a młodzież i kochany gospodarz junior siedzą tu sobie w najlepsze... No, powiedz no pan kilka świeżych zagranicznych anegdotek – i jazda do panien. No, gadaj pan... prędzej.

– Zaraz. Muszę sobie przypomnieć.

– Otóż to. Takich rzeczy nie wolno zapominać. Ja w pańskim wieku miałem do tego specjalny notesik. Nie radzę panu, co prawda, bo po ślubie, lichy wie jak – dostał się do rąk mojej żony. Miałem ja za swoje. No, jazda, młodzi. Panie mecenasie, panowie, siadamy? – Jeżeli dziś przegram, to, jak Boga kocham, kart już do rąk nie wezmę. Wczoraj dostałem tak w główkę, że proszę siadać. Trzydzieści rubli bez małych kopiejek diabli wzięli. Cały ten tydzień. Panowie, prędzej, bo czasu szkoda.

VI

– A ty, smyku, dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Prosiłam Jadzi, żeby poprosiła mamy, i mama mi pozwoliła.

Jutro i tak nie pójdę na pensję.

– A pałek masz dużo?

– A jakże – pałek. Żeby nie ta Żydowa Zilberhornówna, tobym była pierwsza. Ale mama wzięła mi znów Szwabkę, i ona zjedzie ze swojego pierwszego miejsca... Słuchaj, Janek: prawda, że ty znowu wstąpisz na uniwersytet? Tatuś zapłacił wpis, bo pisali w kurierze, że drugorocznik musi zaraz płacić, bo ich wyrzucają inaczej.

– A ty skąd wiesz o tym wszystkim?

– Bo ja bym okropnie chciała, żebyś znowu włożył mundur. Tak ci paskudnie w tym ubraniu.

Nie chce mi się już pisać.

Po rocznym oddaleniu wszystko żywiej wpada mi w oczy.

Jacy oni niesmaczni i obcy.

Nie wiem jeszcze, co to ma być, ale chciałbym ich tak trochę pokąsać, wydrwić, odebrać im tę pewność siebie i strącić uśmiech bezmyślnego zadowolenia.

A naprawdę chwilami tęskniłem za nimi – tam.

Znów ten sam pokój, ten mój pokój.

Ciekaw jestem, kto zacz ów pan narzeczony.

Chciałbym, żeby Jadzi było dobrze.

A ja? – Znów? – A potem, w nagrodę – Stefa.

Tfu, tfu, tfu! Spać mi się chce. Znużyła mnie podróż i – to tam wszystko.

Dusza moja ziewa

Ojciec miał dziś ze mną „poważną” rozmowę. Wszedł. Mina stanowcza, ale jeszcze niegroźna. Usiadł na krześle.

Usiadłem na krześle na oklep, wsparłem ręce na poręczy, na rękach oparłem brodę – i czekam.

Milczenie.

Wydobynam z bocznej kieszeni papierośnicę, powoli ją otwieram; wydobywam i zapalam papierosa.

Zagajenie:

– Wpis zapłaciłem.

– Szkoda wielka.

Długa chwila milczenia.

– Co masz zamiar robić?

– Nie wiem jeszcze...

– Za granicę już nie pojedziesz.

– I nie pragnę wcale.

Jeszcze dłuższa chwila milczenia.

– Masz lat dwadzieścia trzy...

– I miesięcy pięć.

– Ja w twoim wieku...

– Od siedmiu lat sam na siebie pracowałem – wiem o tym.

Długie, ponure milczenie.

– Jesteś... pasożytem.

– I gorzej jeszcze. Pasożyt tylko się karmi na koszt swego

gospodarza, a ja się jeszcze ubieram, jeżdżę za granicę i szukam rozrywek...

– Widzę, że nieźle spędziłeś ten roczek.

– Niekoniecznie dobrze.

– Bo nie rozjaśniło ci się w głowie za tą granicą.

– Widocznie za długo żyłem w ciemności.

– Aha – filozofia.

– Nie lubię, gdy kto używa wyrazów, których nie rozumie.

Pauza. Burza wisi w powietrzu.

Ziewam.

– Wiesz: wolałbym cię widzieć ostatnim łajdakiem niż takim niezdecydowanym błaznem.

– Tylko marny i nieuczciwy lekarz woli ciężkie i nieuleczalne cierpienie, byle mu to ułatwiło postawienie diagnozy.

Cisza.

– Widzę, że ci się zupełnie przewróciło w głowie...

– Bez najmniejszego wątpienia.

– Z lenistwa, z braku obowiązku, z dobrego bytu.

– Ojciec ma zupełną słuszność...

– Powiedz mi, czego ty chcesz?

– Chcę wiedzieć przede wszystkim, czego ojciec chce ode mnie.

– Chcę, żebyś był człowiekiem.

– Po co?

Ojciec wstaje z krzesła i chodzi po pokoju.

– Wstyd mi przynosisz.

– Wobec kogo?

– Wobec wszystkich.

– A kto są ci wszyscy?

– Ci wszyscy to są ludzie.

– A co znaczy: być człowiekiem?

Ojciec staje przy oknie i bębni w szybę.

– Bo jeżeli być człowiekiem znaczy zarabiać ileś tysięcy rubli rocznie, ożenić się, mieć dzieci, wychować dzieci na pasożytów, a gdy te dzieci pytają w swoim czasie, co znaczy być człowiekiem – zamiast odpowiedzi bębnić w szybę – to takie człowieczeństwo ani trochę mnie nie pociąga.

– A czym jest twoje człowieczeństwo?

– Nie wiem i szukam.

– Aha. Chcesz być mądrzejszy od milionów ludzi?

– Czy jest w tym coś złego? Gdyby ktoś jeden nie chciał być mądrzejszy od milionów innych i nie zaczął wyrabiać mydła z gliceryną, toby nie istniały wcale na świecie glicerynowe mydła.

– ...Te mydła glicerynowe dają ci jeść i pić; mydła glicerynowe ciebie wychowały – rozumiesz?!...

– Mydła wychowały mnie widocznie źle, kiedy ojciec jest ze mnie niezadowolony.

Atmosfera ciężka, jak paka mydeł.

– Tak dalej nie będzie!

– I ja tego pragnę...

– Chciałeś być doktorem, pozwoliłem ci być doktorem; chciałeś być nagle filozofem, pozwoliłem ci być filozofem;

chciałeś być zagranicznym chemikiem, wysłałem cię, dokąd chciałeś. Ale jeżeli chcesz być nieukiem i błaznem, to bądź sobie bez mojej pomocy.

– Ja właśnie nie chcę być błaznem.

– Ale nim jesteś!

– Ależ zapewniam ojca, że ojciec się myli. Doprawdy, ojciec się myli...

*La bonne papa*⁶ trzasnęła drzwiami i wyszła.

Ojciec przemawiał do rozumu, matka – do serca.

– Swoim postępowaniem zabijasz ojca.

Nie odpowiadam.

– Czy ty naprawdę straciłeś dla nas zupełnie serce? Cośmy ci złego zrobili? Miałeś wszystko, czegoś chciał. Przecież niczego ci nie brakowało. Powiedz: może naprawdę – może my nie wiemy. Przecież widzisz, że się staramy, żeby wam dogodzić; przecież my nic innego nie robimy, tylko o was myślimy. Ojciec chciał, żebyś był chemikiem. Nie, to nie. Bądź sobie doktorem... Słuchaj, Janku – jeżeli ci ojciec powiedział coś takiego, to nie powinieneś mu brać za złe. Zawsze mężczyzna jest bardziej prędko. Skąd ty możesz wiedzieć, jakie on ma kłopoty i zmartwienia? Ty niby taki psycholog, powinieneś to rozumieć... On nie powie, bo tacy ludzie, co wszystko zawdzięczają własnej pracy, są skryci i zamknięci w sobie. Ty tego nie możesz rozumieć, boś ty się wychował w zupełnie

⁶ *La bonne papa* (z fr. *le bon papa*: dobry tata) – dobra tata. [przypis edytorski]

innych warunkach. Ty wszystko bierzesz po swojemu... Może ty naprawdę więcej wiesz i więcej umiesz. Ojciec nie miał czasu ani tyle czytać, ani tyle pracować nad sobą. Pomyśl tylko, jak on musi cierpieć, jak widzi, że ty mu się marnujesz... Straciłeś rok – no dobrze. Ale teraz powinieneś znowu wziąć się do pracy.

Chwila milczenia.

– I żebyś był jakiś niezdolny albo chorowity – no, to trudno. Ale tak: wiesz, jak to ludzie umieją wszystko, szczególnie, jak się komu lepiej powodzi. Tacy zaraz kontenci. A kto dziecku lepiej życzy niż rodzice?

Pauza.

– Ja nie rozumiem, skąd nagle takie zniechęcenie... Ja nie chcę, żebyś od razu coś postanowił. Teraz zajęci jesteśmy Jadzią. Pomyśl sobie jeszcze; tylko cię proszę: oszczędzaj ojca. Bo powinieneś rozumieć, że on nie tylko do ciebie należy i jakby mu się, broń Boże, coś przez ciebie stało, to jesteś przed nami wszystkimi odpowiedzialny.

Pocałunek serdeczny, macierzyński, i znów wir myśli.

Przypomniał mi się wiersz, bardzo gdzieś dawno czytany:

Leży lew w klatce. Za chwilę rozpocznie się przedstawienie. W uszach króla pustyni brzmia poszumy jego wolnej ojczyzny. Oto wytaczają klatkę na arenę. Do klatki wchodzi pogromca. Lew wita go rykiem, opiera się jego rozkazom – pełen nienawiści i buntu. Ale pogromca błyska w powietrzu stalowymi końcami kańczuga. Chwilę krótką patrzą sobie groźnie w oczy. Lew cofa się w głąb klatki, jeży grzywę, groźnie przykuca – i na dane

hasło...

Hop! i przez kijek przeskoczył.

Czy istnieją specjalne mikroby, które zabijają wolę, a lęgną się w atmosferze niewoli?

Nie koniec jeszcze.

Rozmowa z panem Andrzejem, mecenasem, Jadwigi panny narzeczoną, rodziców moich przyszłym zięciem, a moim niezadługo szwagrem.

Wyciągnął mnie na „kawalerski” kieliszek.

– Panie Janie, pragnąłbym z panem pomówić, ale się obawiam, aby pan nie sądził, że czynię to z polecenia lub za namową rodziców... Nie... Ja mam dla was wszystkich bardzo wiele życzliwości i przykro mi, że bez ważnego powodu dręczycie się wzajemnie.

– ?

– Idzie o to, że – o ile się nie mylę – pan chce się poświęcić dziennikarstwu... Panie Janie, co to jest u nas dziennikarstwo?

– Są tacy, którzy zarabiają po kilka tysięcy rubli rocznie.

– No tak, ale to są wyjątki.

– Czemu ja właśnie nie mam być takim wyjątkiem?

– Pan jest za wielkim idealistą. To przeszkadza.

– Nie tylko w dziennikarstwie.

– I przy tym pan się w ten sposób wykoleja.

– Proszę pana, o ile ani myślę zostać dziennikarzem, o tyle całą duszą pragnę się wykoleić.

Ogromne zdziwienie.

Ząb mnie boli; jestem wściekły.

Przyszedł mi na myśl początek powieści: taki miły, dobrze wychowany, posłuszny i wierny pudel – budzi się nagle z upodlenia i gryzie...

Doznaję wrażenia po tych dwóch dniach przeżytych na łonie rodziny – jakbym je przespał w kurzu i spiekocie; – aż oczy palą, w gardle zasycha i jakoś brudno w całej istocie.

Iść w ślady dziadka i w łeb sobie palnąć? Gotowi pomyśleć, że się zakochał nieszczęśliwie w szwajcarskiej krowie...

Ilekcioć wpadnie mi w rękę nudna powieść, rzucam ją bez skrpułów w piec albo na piec i nie czytam dalej. A przecież tak nudnej książki, jak moje życie – nie spotkałem jeszcze. Takie rozpaczliwe ubóstwo treści.

I czytam to życie, jak się czyta arkusz powieści znalezionej w szalecie, pozostawionej tam przez poprzednika. Nie znam autora ani tytułu, ani początku; bohaterowie mnie nie zajmują, a końca się nigdy nie dowiem.

I mdli, oddechu brak – i dusza ziewa.

Zapewne przez tydzień będzie dyplomatyczna cisza.

Bez nadziei

Za dawnych czasów ojciec przeklinał marnotrawnego syna, nakazywał hajdukowi⁷ wyliczyć mu pięćdziesiąt batów i wyrzucał na cztery wiatry. A dzisiaj mniej poetycznie – tylko z nim nie rozmawia, zamyka worek – i na tym koniec.

Bo też i syn marnotrawny nie bywa dziś „skończonym łajdakiem”, tylko „niezdecydowanym błaznem”. To nawet było wcale dowcipnie powiedziane...

Wstałem o godzinie jedenastej. Ojciec na mieście, mała na pensji, mama z Jadzią w magazynie konfekcji (wstrętny wyraz!).

Chodziłem po mieszkaniu.

Ani jednego sprzętu z tradycją, ani jednego przedmiotu ze związanym z nim jasnym wspomnieniem. Takie sobie pyszałkowate mieszkanie kapitalisty, fabrykanta, który powoli się dorabiał, kupował, co w danej chwili było modne, a stare meble zastępował nowymi.

Na meblach stołowego pokoju uczyłem się słówek francuskich z mademoiselle Jeanne.

Duszno mi w tym obszernym, codziennie przewietrzanym i zaopatrzonym w wentylatory ulepszone, mieszkaniu.

Taka nuda beznadziejna, jak pukanie palcem w szybę...

Byłem u Adeli. Ani słowa o niedawnej przeszłości. Ani chwili

⁷ hajduk – służący. [przypis edytorski]

zakłopotania.

Ucharakteryzowała się na szanującą się żonę statecznego męża.

„Co robiłem przez ten rok? Czy pisałem?”

– Nic nie pisałem.

Uśmiechnęła się. Uśmiech pogardliwy miał oznaczać, że spodziewała się tej odpowiedzi. Naiwną była: wierzyła, że powrócę w promieniach sławy, aby ją unieść za sobą w podniebia. Rozumie dziś już, że jestem tylko rozkapryszonym synkiem bogatego papusia, a nie orłem.

Przyszedł mąż, całował się ze mną, pytał, dlaczego w początkach tylko przysyłałem mu takie dowcipne pocztówki, a potem przestałem. Pokazywał albumy z pocztówkami.

– Prawda, że ładny zbiorek?

– Bardzo ładny.

Prosił, żebym został na obiedzie. Wolałem, niż wracać do domu.

Nuda beznadziejna, jak album z dowcipnymi pocztówkami.

Chodzę po ulicy.

Ludzie snują się. Każdy z nich ma jakiś cel urojony, złudzenie celu. Żaden nie zdaje sobie jasno sprawy, że on jest zupełnie niepotrzebny.

Do Adeli nie pójdę więcej. Niech będzie cnotliwa.

Spotkałem Władka i spiesznie go pożegnałem. Ma tyle spraw do załatwienia, tyle ważnych i różnolitych spraw – tak zajęty, tak pracuje.

Bajecznie się to wszystko trzyma kupy...

Sklep obok sklepu. Każdy sklep ma swego właściciela, a każdy właściciel ma swoich dostawców i odbiorców, subiektów, kasjerki, służących i praktykantów.

Właściciel sklepu albo sam wyrabia towary, albo je sprowadza. W każdym z tych wypadków stara się jak najtaniej kupić i jak najdrożej sprzedać. Różnica – to dochód brutto. Z owego dochodu płaci komorne posiadaczowi placu i domu, opłaca ogłoszenia, patent, gaz, personel.

Wśród personelu są ludzie, którzy przez kilkadziesiąt często lat po trzysta kilkadziesiąt razy do roku przychodzą do sklepu o ósmej rano i siedzą wieczór do ósmej lub dłużej – by drożej sprzedać tańszy towar pryncypała.

A później, aż do udania się na spoczynek, kształcą się, szukają tanich rozrywek, kochają się, marzą, żenią, płodzą dzieci. Czasem uwodzą szwaczki albo chorują na choroby weneryczne i podczas pauzy obiadowej biegną do lekarza.

I ludzi, którzy wiodą taki lub podobny byt, zwany ironicznie życiem, istnieją miliony.

(W tramwaju widziałem konduktora, który mi dawał „książeczki” od biletów, gdym był we wstępnej klasie. Dwadzieścia lat jest konduktorem tramwajowym. To przecież straszne!)

A pan pryncypał?

Ba, jego synowie kształcą się w domu lub za granicą, chorują

na zmodernizowany bajronizm⁸, a żona czytuje powieści z „Czytelni dla kobiet” lub inne. Pan pryncypał chodzi z żoną na koncerty do Filharmonii, na kolacje, do teatrów. To dochód – netto.

Przechodzę koło naszej „firmy”. Szyby błyszczą, gaz się pali, a w oknie: mydła, perfumy, eliksiry, pomady, szczotki do zębów. Na pierwszym miejscu własne wyroby, dalej – składy główne, jeszcze dalej – obce „wydawnictwa”.

To jest handel!...

Byłem w „Tygodniku”⁹ z ohydnie głupią nowelą:

Stary służyący z prosektorium ma syna, który kształci się na fryzjera. Wieczorem młody fryzjer wprawia się w czesanie na trupach. Sadza je na fotelu, nagie, blade i nieruchome, zwilża skłębione włosy, fiksatuaruje¹⁰ i czesząc, opowiada nowiny z miasta – dowcipy – zupełnie jak żywym – żeby się wprawić. Jest nastrój.

Redaktor przyjmuje przed obiadem. Po co pójdę tam jutro? Aha – sława...

Zastawiłem breloki. A te dumania na temat: *vanitas*

⁸ *bajronizm* – prąd literacki i obyczajowy XIX w. ukształtowany na kanwie twórczości i legendy biograficznej ang. poety George'a Byrona (1788–1824), charakteryzujący się buntem przeciwko panującemu porządkowi społecznemu. Określenie *zmodernizowany bajronizm* odnosi się raczej do bezproduktywnej mody na naśladowanie bohaterów Byrona. [przypis edytorski]

⁹ „Tygodnik”, właśc. „Tygodnik Ilustrowany” – pismo wychodzące w Warszawie w latach 1859–1939. [przypis edytorski]

¹⁰ *fiksaturować* – smarować włosy fiksatuarem, czyli pomadą. [przypis edytorski]

*vanitatum*¹¹ – wykwitły na gruncie zamkniętej na cztery spusty kasy ojcowskiej. Ale mniejsza – i to jest natchnienie...

Byłem w cukierni i czytałem pisma. Przyszło mi na myśl, że to wszystko było nasamprzód pisane, potem żmudnie składane po literze przez zecera, potem poprawiane dwa razy – i to się nazywa naprzód, *excelsior*¹² – wyżej – *ad astra*¹³...

Czybym ja, u diabła, więcej miał wiedzieć niż inni? A może to głupia, niezręcznie robiona poza?

Nudno, aż mdli.

A dalej?

Kilka dni nie będziemy z papą rozmawiali, potem papa strzeli w moją stronę, ja odpowiem. Będzie burza. Ojciec wyjdzie i trzaśnie drzwiami albo ja trzasnę drzwiami. Wyniosę się na kilka dni do Janka, napiszę wiersz, zacznę powieść – jedno i drugie podrę i wrócę do domu.

Synku, synku, synku – hop przez kijek!

– Janku, chodź do salonu. Jest Andrzej. Dwa razy się już pytał o ciebie. Tak wygląda, jakbyś go unikał.

– Aha: wygląda. Mam do salonu? Już idę.

Salon.

Lampa, abażur, pianino, firanki, dywany, meble stylowe, na

¹¹ *vanitas vanitatum* (łac.) – marność nad marnościami (Koh 1,2). [przypis edytorski]

¹² *excelsior* (łac.) – wyższy. Tu: krój czcionki, ale również hasło postępu. [przypis edytorski]

¹³ *ad astra* (łac.) – do gwiazd. [przypis edytorski]

stole *Tadeusz*¹⁴ nie czytany, w bogatej oprawie, *Wojna*¹⁵ w teczce – krakowskie wydanie, jakieś widoki, „Rok Polski”¹⁶. Wszystko lśniące, wytworne.

– Więc Zosia nie da mi buzi? Zosia boi się, że jej wąsy urosną?
– ciągnie Andrzej.

– Wcale nie – odcina się mała.

– A dlaczego Zosia nie chce mi dać buzi? Przecież ja jestem teraz Zosi wujaszek.

– Ładny mi wujaszek.

– Fe, Zosiu, kto tak mówi! – gromi mama.

– Bo przecież nie wujaszek, tylko szwagier, bo Jadzia jest moja siostra – broni się mała, mocno zawstydzona.

– No, a szwagrowi nie można dać buzi? – ciągnie bardzo dowcipnie Andrzej.

– Ale pan dopiero będzie, a nie jest jeszcze.

– Wszystko jedno: mnie już panna Zosia może dać buzi, bo ja jestem już staruszek.

– A jakże: staruszek.

– Rozumie się, że staruszek. Czyż nie, panno Jadwigo?

Rozmowa kropka w kropkę w tym samym tonie, w jakim ja prowadziłem ze Stefą. Tylko Zocha ma dopiero dwanaście lat.

¹⁴ *Tadeusz*, właśc. *Pan Tadeusz* – epopeja Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

¹⁵ *Wojna*, właśc. *Padół też (Wojna)* – cykl 11 obrazów Artura Grottgera (1837–1867). [przypis edytorski]

¹⁶ *Rok Polski*, właśc. *Rok polski w życiu, tradycji i pieśni* – zbiór materiałów literackich i etnograficznych autorstwa folklorysty Zygmunta Glogera (1845–1910). [przypis edytorski]

Drażni mnie ten pan, ten pan narzeczony.

Zosia siedzi chwilę jeszcze na fotelu, bujając nogami w powietrzu – zakłopotana. Nagle zrywa się, przybiega do mnie i całuje mnie w usta.

– A to kokietka – śmieje się uradowany „mecenas” – jak ona grzecznie dała mi do zrozumienia, do kogo jej buzia należy...

Potem rozmawiano o literaturze.

Potem przyszedł ojciec, ze mną się nie przywitał – i mówił z Andrzejem o prawie, o podatkach, o rynkach, cłach i ciężarach, o demoralizacji pracowników, niesumienności – i o głupich mrzonkach niedowarzonych młokosów, którym się we łbach poprzewracało.

Więc papa ma mnie za socjalistę? Ale może i lepiej wreszcie: postawił diagnozę przynajmniej.

Przechodzimy do stołowego pokoju. Zasiadamy. Andrzej stara się wytworzyć serdeczny nastrój, co mu się fatalnie nie udaje. Jest śmieszny. Mama z nim na spółkę pragną mnie gwałtem wciągnąć do rozmowy. Duszno!

Wreszcie dają mi spokój...

Przyglądam się ojcu, jak się patrzy na człowieka dawno nie widzianego lub człowieka, o którym się wiele sprzecznych zdań słyszało – i oto jest przed nami.

Widzę każdy najdrobniejszy szczegół jego postaci: znużone oczy, krawat jedwabny, poczernione z lekka wąsy, zmarszczki na czole i nieskazitelnie czysty gors koszuli.

Czegoś bezwiednie szukam w tej postaci i znaleźć nie mogę,

pytam o coś, na co mi nie daje odpowiedzi.

Czemu pan, panie ojcze, jesteś mi tak obcy?

Gdy patrzę na pana, widzę przed sobą przemysłowca, który w ruchach i mowie zdradza wiele nieszczerości, widzę takiego niemiłego pana, który jest moim wierzycielem, którego niewypłacalnym dłużnikiem jestem ja.

Wiem, że mi pan nie przyślesz komornika, nie zamkniesz mnie do kozy, że mnie pan nie będziesz szykanował. Owszem, cenię pańską grzeczność, może nawet wspaniałomyślność. A mimo to, wybacz pan, wolałbym być dłużny każdemu innemu raczej niż panu.

I dlaczego to tak jest?

Czemu pan, panie ojcze, jesteś mi tak bardzo obcy?

Teraz patrzę mu już prosto w oczy.

Dziecko salonu

Ojczy!

Byłem wówczas bardzo mały jeszcze. Myślałem, że Bozia bardzo by się gniewała, gdybym wziął ciastko po kryjomu – a gdy się nogami buja, to się diabła kołysze. Lubiłem gryzmolić ołówkiem i ustawiać domki ze starych kart, i oglądać malowanki, i dorabiać wąsy obrazkom, i słuchać bajek o sierotach, macochach i strachach. I dziwiłem się, skąd konie wiedzą, dokąd tatuś kazał dorożkarzowi jechać, że trafiają – i jak starsi umieją odróżnić psa od suczki – i jak się wszyscy umarli mogą pomieścić w niebie. Nie chciałem pić mleka i wcześniej chodzić spać. Mówiłem przy gościach: „Piał kogucik kukuryku”¹⁷, i inne bajeczki – i bardzo bałem się ciemnego pokoju i obcych ludzi.

Boście mówili mi, że do obcych nie wolno się zbliżać, bo sprzedają małe dzieci dziadom i do cyrku – że nie wolno nic brać od obcych: ani karmelków, ani wisienek, bo mi nos odpadnie – i że nie wolno nic z ziemi ani w ogrodzie, ani na ulicy podnosić, bo będę miał wszędzie brzydkie, czerwone plamy i krosty.

¹⁷ *Piał kogucik kukuryku* – początek wierszyka dla dzieci autorstwa Stanisława Jachowicza (1796–1857). „Piał kogucik: kukuryku!/ Wstawaj rano, mój chłopczyku./ A chłopczyk się ze snu budzi./ Patrzy... dużo chodzi ludzi./ Więc się szybko zrywa z łóżka./ By nie uszedł za leniuszka;/ I rzekł: za tve kukuryku/ Dziękuję ci koguciku”. [przypis edytorski]

I zdawało mi się, że poza czterema ścianami domu czatuje przyczajona jakaś siła wroga i groźna, złe tajemnicze mroki – a poza wami, wszyscy ludzie-wrogowie, którzy pragną mnie zgubić.

Gdy mama dała mi dwa grosze, abym podał dziadkowi – „że on mi nic nie zrobi” – tom się bał i oglądał, czy mama sobie nie pójdzie i mnie nie zostawi samego bezradnego. A gdyście mówili: „zostań tu, będziesz tu miał dużo zabawek i ciasteczek” – tom płakać zaczynał, a wyście się śmiali. Bałem się Boga, was, ludzi – bałem się, tylko bałem – i nie ufałem.

Wyszliście wieczorem do teatru. Do niańki przyszedł jakiś człowiek w długich butach; siedział w kuchni w czapce. Począłem płakać: „niech ten chłop sobie idzie”. Kazała mi go przeprosić, pocałować w rękę. Nie chciałem – drżałem. „Jak nie przeprosisz w tej chwili, to zgasimy lampę, pójdziemy sobie, a ty zostaniesz sam. Przyjdzie dziad bez głowy, zatka ci usta, zawiąże, wsadzi w worek i rzuci do wychodka”... Przynieśliście mi z teatru czekoladki i pudełko z obrazkiem. Mama pytała: „dlaczego Janek nie śpi? czy nie płakałeś, Janku? – masz takie oczki czerwone”. – „Nie, mamo” – i cisnąłem do ust jej miękką rękę...

Następnego roku otrzymałem spodenki i bonę Francuzkę...

*

W maju miałem zdawać do gimnazjum.

Przy gościach deklamowałem *Powrót taty*¹⁸. Zbierałem pudełka od cukierków i lekarstw, kasztany w Ogrodzie Saskim i bilety tramwajowe. Lubiłem ciastka, ułęgałki (w tajemnicy), pierniki, orzechy w cukrze, „sachar”¹⁹ (w tajemnicy), chleb świętojański²⁰, wodę z sokiem i siedzieć w dorożce na dużym siedzeniu. Mówiłem: „jak mamę z duszy Kocham” i „**kogo** ta książka”. Wystawa taniego sklepu zdawała mi się skarbcem Sezamu, złotówka – majątkiem, a imieniny moje – świętem całego świata.

Robiłem z Jadzią perfumy ze skórki pomarańczowej. Z „dziewczynami” nie chciałem się bawić, bo beksy. Grałem z uczniami w klasy na marki²¹: Egipt z piramidami lub Kanadę z bobrem. W Rinaldinim²² stałem przy fortecy, a w palancie²³ byłem „młodszym bachorem”, bo jeszcze ani biegać, ani dobrze piłki podrzucić nie umiałem. W ogrodzie na welocypedzie²⁴

¹⁸ *Powrót taty* – ballada Adama Mickiewicza z tomu *Ballady i romanse*. [przypis edytorski]

¹⁹ *sachar* (ros.) – cukier, lody sprzedawane na ulicy. [przypis edytorski]

²⁰ *chleb świętojański* – karob, szarańczyn strąkowy, strąki wiecznie zielonego drzewa uprawianego w krajach śródziemnomorskich. [przypis edytorski]

²¹ *marka* (daw.) – znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

²² *Rinaldini, Rinaldo* – bohater popularnych opowiadań dla młodzieży. Pierwowzór postaci został stworzony przez niem. pisarza Christiana Augusta Vulpiusa (1762–1827). [przypis edytorski]

²³ *palant* – gra, w której uczestnicy podzieleni na dwie drużyny podbijają kijem małą piłkę gumową (wódz był nazywany „matką”, a szeregowi gracze „młodszymi bachorami”). [przypis edytorski]

²⁴ *welocyped* – rower z przednim kołem dużym, a małym tylnym. [przypis edytorski]

wstydzilem się już jeździć, uczennice nazywałem: „o gęsi, gęsi idą” – i psułem dziewczynkom kółka, gdy bawiły się w głupiego baka²⁵, „Różę od Torunia”²⁶ i „poszła panna po ziele”²⁷.

Mówiłem: „oliwa nie cebula” i „Was?²⁸ – Kapusta i kwas” – i „co? – pstro!” – i „dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy, a szczypawki do zabawki”.

Wiedziałem, jak napisać zmarzniętą wodę w trzech literach: – lód, i wyschłą trawę w pięciu: – siano – i że funt²⁹ pierzy jest tak samo ciężki jak i funt ołowiu. Wiedziałem, że „kobyła ma mały bok” – od końca czyta się tak samo – i że jak mówić: „masło, masło, masło” – to wychodzi: słoma, słoma, słoma. Uczyłem się prędko i wyraźnie wymawiać zdanie: „brzmi chrząszcz w trzcinie” – i walczyłem z dzieleniem przez trzy cyfry z próbą.

Marzyłem o czapce z gwiazdką, o pasku z klamrą, o bocznej kieszeni, jak u dorosłych, w bluzie i o tylnej przy mundurze... Wierzyłem, że znaleziona podkowa przynosi szczęście, że gdy się w nocy tak obudzić, jakby się spadało – to się rośnie albo

²⁵ *bak* a. *cyga*, *fryga* – wydrażona kula na pręciku, wokół którego okręcony był sznurek. Baka wprawiało się w nagły ruch, odciągając sznurek. Zabawa polegała na tym, żeby nie dopuścić do zatrzymania bączka, podtrzymując ruch biczykiem lub kijkiem. [przypis edytorski]

²⁶ *róża od Torunia* – zabawa w kółku, osoba w środku była różą, w odpowiednim momencie piosenki dzieci zaczynały tańczyć, a róża wybierała kolejną osobę do kółka. [przypis edytorski]

²⁷ *poszła panna po ziele* – popularna piosenka ludowa, do której dzieci tańczyą w parach. [przypis edytorski]

²⁸ *was?* (niem.) – co? [przypis edytorski]

²⁹ *funt* – dawna jednostka wagi. [przypis edytorski]

Bóg grzechy waży – nie wierzyłem w duchy, ale się ich bałem. Bawiłem się w loteryjkę, w szubienicę³⁰, cetno i lichy³¹ i zgaduj zgadula, w którym ręku złota kula. I mówiłem: „no, ściśnij palec” – i siniejąc z bólu, z obojętną miną: „mocniej ściśnij, bo wcale nie boli – tylko nie wolno paznokciami”.

Modliłem się, aby umrzeć razem z rodzicami.

Wstrząsnął mną widok karmienia węzów gołębiami w zoologicznym ogrodzie i widok tortur figur woskowych w panopticum³², i – gdy zwariował jeden znajomy tatusia. Boże! jakie to straszne; to pewnie Bóg za grzechy tak karze... Poza tym wierzyłem, że Bóg na to stworzył zwierzęta, żeby je ludzie jedli, ale męczyć zwierząt nie wolno, i że biedne dzieci są nieprzyzwoite – w ogóle wierzyłem we wszystko, co mówili: tatusi, korepetytor, mama i książki z obrazkami...

Mieszkaliśmy wówczas na Nowym Świecie.

Siedziałem na kanapie w twoim gabinecie, panie ojcze, i czytałem bajkę Andersena³³ o matce, która szukała zmarłego dziecka i oddała swe włosy piękne, zęby i oczy, by znaleźć drogę do śmierci – do dziecka swego. Ty siedziałeś przy biurku i pisałeś. Weszła służąca i coś powiedziała. Po chwili weszła

³⁰ *szubienica* – zabawa w krzyżyk i kółko, przegrywający rysuje kawałek szubienicy, przegrywa ten, kto pierwszy wyrysuje szubienicę w całości. [przypis edytorski]

³¹ *cetno i lichy* – zabawa polegająca na zgadywaniu, czy przedmioty schowane w dłoni są w liczbie parzystej (cetno) czy nieparzystej (lichy). [przypis edytorski]

³² *panopticum* (łac.) – gabinet osobliwości. [przypis edytorski]

³³ *Andersen, Hans Christian* (1805–1875) – duński poeta i pisarz, autor słynnych baśni. [przypis edytorski]

kobieta w chustce, upadła na kolana, całowała cię po rękach i błagała, żebyś przebaczył jej mężowi. – Tę całą skrzynkę on sprzedał za dwa ruble; jakieś złe go kusilo; przecież on nie jest ani złodziejem, ani pijakiem – on ciężko pracuje, tylko złe go skusilo. Dwoje dzieci umarło im przed tygodniem, a trzecie jest chore. – Powiedziałeś, że jej nic już teraz nie możesz pomóc, że nad złodziejami nie masz litości. – Wychodząc, spojrzała na mnie wzrokiem, który zwiastuje nieszczęście. Drżałem przerażony – z bajkami Andersena w ręce. Po raz pierwszy dusza moja z lękiem odskoczyła od ciebie. O! ja bym inaczej postąpił.

A był to czas, gdyś był jeszcze dla mnie ideałem, doskonałością bezwzględną. Wszystko mi w tobie imponowało: i to, że masz włosy na rękach i żyły, i to, że wieczorem w łóżku czytujesz kuriery, że masz karty wizytowe, suszkę³⁴ ciężką marmurową, a nie bibułę na włóczce z pieczętką. Imponowało mi, że zamoczywszy pióro w kałamarzu, zręcznym ruchem strącasz nadmiar atramentu, tak że nigdy kleksa nie zrobisz, że nakręcasz zegary i wiesz, kiedy już dosyć, że gdy idziesz przez ulicę, tylu ludzi ci się kłania, tylu masz znajomych; że otrzymujesz listy z zagranicznymi markami; nosisz binokle, które ci nie spadają z nosa; że palisz cygara i masz tyle szuflad; że nie zawsze zdejmujesz kapelusz przed kościołem...

³⁴ *suszka* – przedmiot do osuszania papieru z atramentu. [przypis edytorski]

Wsiąknęłam dużym kęsem duszy w szkołę. Teraz imponowali mi: przede wszystkim klasowy gospodarz i nauczyciele, potem dopiero ojciec i drugoroczni koledzy, i głównie z wyższych klas uczniowie, którzy umieli dym nosem wypuszczać, dalej, korepetytor, wreszcie – książki z powiastkami, prymus i ostatni uczniowie. Mamę już kochałem; obok mamy był ksiądz, który był dobry i nie stawiał dwójek.

Nauczyciel był nadprzyrodzoną istotą. Znaczek zrobiony na książce jego ręką, niebieski ołówek, frak nauczyciela, stopień czerwonym atramentem – wszystko to było jakieś tajemnicze, godne szacunku. Naśladowałem w domu ich sposób mówienia, głos, ruchy.

Wiedziałem już, że dziecko rodzi się..., wiedziałem, że nawet ojciec nie zna się na ślepej mapie, nie umiałby odmieniać: *hic*, *haec*, *hoc*³⁵; *is*, *ea*, *id*³⁶; *fero*, *tuli*, *latum*, *ferre*³⁷ lub wyliczyć wyspy we wszystkich częściach świata.

W sklepie czasem pytano: „czego pan sobie życzy?”; raz sam wróciłem do domu po jedenastej, dałem stróżowi dziesiątkę za otwarcie bramy i przez kilka dni stróż mi się kłaniał; służąca

³⁵ *hic*, *haec*, *hoc* (łac.) – ten, ta, to. [przypis edytorski]

³⁶ *is*, *ea*, *id* (łac.) – który, która, które. [przypis edytorski]

³⁷ *fero*, *tuli*, *latum*, *ferre* (łac.) – nieść, formy podstawowe czasownika. [przypis edytorski]

mówiła: „niech panicz”.

Zbierałem stare monety i marki na wykupienie niewolnika, dawałem koledze jedną bułkę ze śniadania, co parę tygodni sprowadzałem zabłąkanego głodnego pieska, któremu mama kazała dać mleka i wyrzucić.

Kupiłem czerwony atrament i pisałem swe nazwisko z wielkim zakrętasem po dziesięć razy na każdej stronie brulionu. Drugoroczni podpisywali nauczycieli i dawali im swoje przezwiska.

Na dłoni pisałem trudniejsze nazwy geograficzne, przemieniałem: Kuba, Haiti, Portoryko na – Kuba ma gatki i portki; na bibule notowałem trudniejsze wyrazy z dyktanda, żeby się w domu zapytać korka³⁸, czy dobrze.

W tym czasie kochałem się w jednej dziewczynce ze ślizgawki i przez dni kilka w Lucynce, która miała wtedy lat ośm i deklamowała w ogródku na Foksalu, i ojciec ją potem hipnotyzował.

Wierzyłem w feralne dnie i w to, że grosik, kamyk, bluza, wyjście z domu prawą lub lewą nogą lub wiadro wody – przynoszą szczęście lub nieszczęście, że za jedno pociągnięcie papierosa Bóg karze dwójką z dyktanda albo wierszy.

Chodziłem oglądać z kolegami trupy w kaplicach, czytałem w kurierze wszystkie wiadomości o zbrodniach, żywcem pochowanych, Kubach Rozpruwaczach³⁹ i lunatykach – i

³⁸ *korek* (gw.) – korepetytor. [przypis edytorski]

³⁹ *Kuba Rozpruwacz* – pseudonim nadany zabójcy londyńskich prostytutek, jego

nakrywałem się wieczorem kołdrą na głowę. Sadziłem w doniczkach pestki od daktyli i pomarańczy; rzadko co wyrosło, a jak wyrosło, to zwiędło. Wycinałem ramki laubzegą⁴⁰ i marzyłem o basenie z rybkami, ślimakami i morskimi roślinami.

Lubiłem gry towarzyskie: pierścionek, dukat, lub: imię męskie, imię żeńskie, gdzie byli, co robili, co na to świat powiedział. Czasem wychodziło bardzo dowcipnie: Władzio i Mania w naparstku kichali; świat powiedział, że to grzech. Na prima aprilis mówiło się: „masz nos zawalany atramentem”, „o, bluza ci się podarła”. W tłusty czwartek drugoroczni rysowali na tablicy pączki. W śmigus oblewałem kolońską wodą Jadzię, kucharkę i służącą. Wiosną grałem w „zielone” na „fundę”⁴¹: chałwę, makagigi⁴², miętówki i sachar.

Wówczas to siedziałem trzy godziny w kozie, bo byłem dyżurnym i nie chciałem wydać kolegów, którzy coś przewinili. „Sami powinni się byli przyznać” – twierdziłeś wtedy, panie ojcze. Ale prawdziwa burza wówczas dopiero powstała, gdym przyniósł trójkę ze sprawowania za kwartał. Groziłeś różgami i oddaniem mnie do szewca. A wiedziałeś, że nie mogłem być lizuchem, żeby potem ciągle mi mówili: „No idź, polizuchuj się; pędzej, ja ci każę iść”. Skrzywdziłeś mnie pan, panie ojcze. Widzisz? Jeszcze pamiętam...

tożsamość nie została ustalona. [przypis edytorski]

⁴⁰ *laubzega* – przyrząd do cięcia, wyrzynarka. [przypis edytorski]

⁴¹ *funda* – fundowanie. [przypis edytorski]

⁴² *makagiga* – ciastko z miodu maku i migdałów. [przypis edytorski]



Nie bawiła mnie już proca ani palant, ani czwórki z tłumaczeń; nie brałem udziału w bitwach na podwórzu podczas pauzy. Czytałem Kraszewskiego⁴³, nowelki (po kryjomu) i *Ogniem i mieczem* (otwarcie). Próbowałem pisać wiersze i urządzić własny dzwonek elektryczny. Przed każdymi dłuższymi świętami postanawiałem od nowego kwartału już dobrze się uczyć: powtórzyć, dopełnić, układałem plany, po ile stronic dziennie powtarzać, ile rozwiązać zadań – i kończyło się na planach.

Chciałem być aktorem, poetą, księdzem, wodzem, podróżnikiem, chemikiem, adwokatem, Kmicicem – co dni kilka kochałem się w innej ze spotykanych w drodze do szkoły pensjonarek i rwałem listki: „kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje” albo „napluje”. A przede wszystkim chciałem już być dorosłym... być – sobą.

Byłem ci już, panie ojcze, zupełnie obcy.

„Czcij ojca twego i matkę swoją”.

– Przez co się czci ojca i matkę?

– Przez miłość, uszanowanie i posłuszeństwo.

Więc grzeszny byłem i żałowałem za grzechy.

– Iloraki jest żal?

⁴³ Kraszewski, Józef Ignacy (1812–1887) – polski pisarz, publicysta, historyk i działacz społeczny. [przypis edytorski]

– Żal jest dwojaki: doskonały i mniej doskonały.

– Co to jest żal doskonały?

– Żal doskonały jest to obrzydzenie sobie grzechów pochodzące jedynie z miłości Pana Boga.

– Co to jest żal mniej doskonały?

– Żal mniej doskonały jest to obrzydzenie sobie grzechów pochodzące z obawy utraty nieba lub zasłużenia na piekło, ale już z mniejszą miłością Pana Boga.

Żal mój był mniej doskonały: obawiałem się utraty nieba lub promocji.

Zauważyłem, że po każdej zapomnianej rano modlitwie, ukradkiem wypalonym papierosie albo nierozmyślnie złamanym poście – następowała kara w postaci dwójki – i podziwiałem czujność i sprawiedliwość.

Im bliżej egzaminów, tym dłuższe i gorętsze pacierze. Bo na zielonym suknie stołu leżały pytania, gorąco pożądane, obojętne lub pytania fatalne, złowieszcze. „Boże! już nigdy nie będę”. I ręka drżała, przed oczyma biegały ciemne plamy, dech zamierał, serce kurczyło się w trwożnym oczekiwaniu: czy Bóg pomoże?

...

Bolek i Franek Tomczyńscy, Stasiak Żabicki („Żaba”) i ja – postanowiliśmy urządzić pieszą wycieczkę, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. I przeszliśmy nawet bez poprawki. Na przyszły rok usiądziemy razem: Franek z Bolkiem na trzeciej, a my na czwartej; bo oni lepiej robili zadania, a my wspomagać ich

będziemy łaciną – więc *viribus unitis*⁴⁴, razem, nie damy się.

Zezwoliliście na jednodniową pieszą wycieczkę do Wilanowa. Ale nazajutrz zmienileś, ojcze, zdanie: zabronileś. Nie mogłem ich nawet uprzedzić. Po południu chcieliście wziąć mnie w Aleje. Uparłem się i zostałem w domu – sam, przy oknie, z żalem i gniewem bezsilnym i wrogim – w duszy.

Prawda, że to drobiazg? A jednak pamiętam...

*

Spętaliście mi czyny, ale myśli bujały swobodnie. Bo troskliwość wasza nie sięgała aż tak głęboko, bo nie zagłębialiście się nigdy bardziej niż w jamę ustną: czy jem – i muszlę uszną: czy czysta.

Już nie odgadywałem szarad w kurierze. Marzyłem o innej, większej sławie.

– Cicho, Jadziu, nie przeszkadzaj, bo Janek się uczy.

A Janek pod gramatyką grecką miał powieść, na policzkach – rumieńce, w oczach – iskry lub łzy, a w duszy – burzę: zapal, obawę, ból i wyrzuty sumienia...

Przyszła miłość śnieżnobiała i nauczyła czuć i marzyć. Z nią mieszkam w latarni morskiej i pracuję nad latającą maszyną lub *perpetuum mobile*⁴⁵. Matka jej umarła na suchoty; znajduję

⁴⁴ *viribus unitis* (łac.) – jak jeden mąż. [przypis edytorski]

⁴⁵ *perpetuum mobile* (łac.) – mechanizm, który raz uruchomiony, działałby zawsze. [przypis edytorski]

lekarstwo przeciw suchotom i nazywam jej imieniem: Anieli, Anielki mojej.

Pisałem listy do pisarzy: – do Belmonta⁴⁶:

„Panie! Czytałem twoje arcydzieło: *W wieku nerwowym*. Boże! Jakie to arcydzieło...”

Do Choińskiego⁴⁷:

„Pan, taki sławny i taki wielki, będzie się śmiał z listu sztubaka. Ale przecież *Stłumione iskry* to takie potężne dzieło. Och! jak pan zna duszę ludzką” – itd.

I listów nie wysyłałem, bo bałem się, że są śmieszne, że drwić z nich będą, jak drwią moi najbliżsi ze mnie, z mej ukrywanej miłości, marzeń i wątpliwości moich.

– O, widzisz, to jest **taka**.

– A po czym ty poznajesz?

– To od razu można poznać... Nie wierzysz, to stańmy: zobaczysz, że od rogu znowu zawróci.

I zawracała od rogu.

I na to się pozwala?... To przecież straszne, tego być nie powinno.

⁴⁶ Belmont, Leo, właśc. Leopold Blumental (1865–1941) – polski pisarz, eseista i tłumacz. Autor powieści *W wieku nerwowym* (1888) kreującej postać dekadenta. [przypis edytorski]

⁴⁷ Jeske-Choiński, Teodor (1854–1920) – powieściopisarz, krytyk literacki i teatralny. *Stłumione iskry: opowieść z 1886* to historia rodziny mieszanej, prusko-polskiej, w której dochodzi do konfliktów na tle narodowościowym. [przypis edytorski]



Smutny snułem się po mieszkaniu: dowiedziałem się, że stryj wyjeżdża na Kaukaz. Więc i Aniela pojedzie i może nigdy jej nie zobaczę. Stałem przy oknie w salonie i patrzyłem na chmury, i wiersz układałem. Drzwi do gabinetu twego były uchylone. Głośno się śmiałeś, panie ojcze, głośno i serdecznie, z dowcipów, które przywiózł pan Antoni z ostatniej podróży. Słyszałem wszystkie anegdoty, które opowiadaliście sobie wzajemnie. Jedną najlepiej pamiętam:

„Pewien ojciec miał dwie córki i tak bał się o ich cnotę, że kupił dwa kosze, które przewiesił przez ramię i wsadził w nie obie córki, i nosił przez lat osiemnaście. Zgłosił się młodzieniec i powiada: »daj mi jedną z córek, tylko musisz zaręczyć, że jest niewinna«. Stary poskrobał się w głowę. »Widzisz, za tę, która siedziała w przednim koszu, to ręczę, ale za tę, co w tylnym koszu – to nie, bo jej nie miałem ciągle na oku«”.

Były i gorsze. A potem sądy i komentarze.

Czy pamiętasz, z jakim wyrzutem bolesnym patrzyłem wówczas na ciebie, panie ojcze – podczas kolacji na cześć pana Antoniego wydanej; leguminę orzechową z kremem jedliśmy dnia tego...



Przed modlitwą stale teraz mówiłem „modlitwę o dar modlitwy”.

„Panie mój! z pokorą idę przed Ciebie prosić Cię o największą dla człowieka łaskę, o dar szczerzej a żarliwej modlitwy... Niechaj mi przy modlitwie znika z oczu i z myśli wszystko, co nie jest Tobą; niech żadne roztargnienie mnie od Ciebie nie odrywa... O, naucz mnie, Panie, modlić się do Ciebie z nadzieją i wiarą”.

I to długi czas pomagało.

Przestałem czytać powieści na czas pewien.

W klasie byli tacy, którzy **już**... Jeden miał pojedynek o pannę.

Dlaczego są choroby dziedziczne?...

A my ze Stachem mieliśmy wstąpić do seminarium: on zaraz, a ja po skończeniu uniwersytetu. Będziemy mieli kazania dla prostytutek; będziemy razem je pisali. Mieliśmy plan: że mężczyźni je krzywdzą, że one nie tylko duszę, ale i zdrowie rujną – to będzie dla nich bardziej zrozumiałe, bo w duszę mogą nie wierzyć.

Nasze reformy: za uwiedzenie – kara śmierci. Chorym nie wolno się żenić. Zamiast wódki – pieniądze na biednych. Instytucja sprawdzania talentów: czy do malarstwa, czy do poezji, czy do muzyki? Zamiast wojska – wielkie warsztaty.

Dla wzmocnienia w sobie woli piliśmy herbatę, bez cukru i

w ogóle – żadnych łakoci. Będziemy jaroszami, bo ksiądz nie powinien jeść mięsa.

Uczyłem syna stróża czytania. Chłopiec był pojętny; widziałem w nim przyszłą chwałę narodu. Lekcje trwały dwa tygodnie. Jadzia skarżyła się na ból głowy. Doktor powiedział, że to będzie odra.

– Czy nie mógł przynieść zarazy chłopiec stróża?

– Owszem, mógł. Mieszkanie stróża to siedlisko zarazy dla całego domu.

– Słyszysz, Janek, co pan doktor mówi?

Tak skończyły się moje lekcje...

Czy wy pamiętacie to wszystko?

Nie!

Wróżba

Dwoje oczu wielkich, czarnych, uparcie nieruchomych i smutnych. Wargi drżące w kurczowym półuśmiechu. Nad białym czołem koroną żałobną włosy bujne. Głos cichy, monotony. Lituję się nad tobą, mój pięknie odziany, mój syty, mój urodziwy młodzianie. Widzę twą przeszłość i czytam przyszłość.

Mgła wilgotna i chłodna, opary zgniłe, trujące, a po kolana błoto – i grzęzniesz. Nie masz sił, aby się wyrwać, nie masz odwagi, by wołać o pomoc. Pomarszczona jest dusza twoja, a czoło gładkie – i płakać zapomniałeś. Za wiele we własną, za mało w ludzi patrzysz duszę; nie odnajdujesz we własnej duszy ani przeszłości, ani przyszłości, ani cech wspólnych dla wszystkich dusz. Za wiele wiesz, aby wierzyć, za mało, aby wiarę utraconą odzyskać, a nie wierzyć i kochać nie umiesz, i cierpisz. Kochanką jest ci cierpienie – nie mistrzem: ku ziemi tłoczy cię ono, nie podnosi, karli, nie wyolbrzymia; bo woli nie masz i kochasz cierpienie swoje.

Przekleństwo ściga cię za krzywdy, które wyrządziłeś – przestępstwa, które nie z własnej popełniłeś woli – przekleństwo od kołyski do grobu, i poza grób daleko jeszcze.

I pierwszą krzywdą-przestępstwem, które popełniłeś, było – żeś ssał pierś, która nie tobie przynależna była, zabrałeś dziecku-rówieśnikowi matkę, kradłeś pokarm, niemowlę. I druga

krzywdą-przestępstwem, które popełniłeś, było – że nie matce, która cię w bólu wielkim zrodziła, lecz płatnej kobiecie-mamce pierwszy swój uśmiech złożyłeś w darze, dziecię-samolubie. I cały ich szereg płynął i płynął, a Bóg je liczył...

Czy pamiętasz, gdyś miał długie loki, które ci opadały na ramiona, białka oczu bez żadnej żyłki czerwonej, i całowano cię, i dawano cukierki – cukierki za pocałunki? Łóżeczko twoje było miękkie i ciepłe, a głodu nie znałeś, i dużo zabawek miałeś pięknych i kosztownych. Obawiałeś się ludzi, a gdy cię całowano, piąstkami ścierałeś ślinę, choć to nieładnie. Kazano ci dla wszystkich być grzecznym, a nawet dla tych, o kim źle mówiono – nawet dla... służby – chłodno grzecznym.

I przeczucie jasne, lękliwe jasnej duszy dziecięcej mówiło ci, że sierotą jesteś, że nie ma pogody w dzieciństwie twoim. Miałeś świat swój własny i tajemniczy – ponury świat zaczarowanych królewien, złych czarowników i wiedźm mściwych, o których ci nie ojciec i nie matka opowiadali. Uczyłeś się tabliczki mnożenia, która trudna była, i karano cię, jeśli cacko kosztowne zbiłeś. Staraleś się nie walać czystych ubranek i hałaśliwe zabawy pod okiem czujnym płatnej wychowawczyni nie twoim były światem.

A czy pamiętasz swe modlitwy dziecięce, naiwne i tęskne?...

Lituję się nad tobą, młodzianie, bo nikt cię nie kocha i ty nie kochasz nikogo, i nienawidzić nawet silnie nie potrafisz, i nie znasz walk, jeno z duchem własnym, i sierotą jesteś. Nie wierzysz, a zabobonny jesteś, drwisz z miłości, a kochać

pragniesz, nie cenisz życia, a boisz się śmierci, pogardzasz sobą, a czujesz się być wyższym ponad mrowisko ludzkie, śmiejesz się z przesądów i konwenansów, a ulegasz im z pokorą niewolnika; nie cenisz otoczenia, a grasz przed nim wieczną komedię, aby o tobie mówiono; uwodzisz i wołasz o równouprawnienie kobiet; jesteś bystrym obserwatorem, a widzisz w człowieku to tylko, co śmieszne i brudne, nie dostrzegasz tego, co smutne; wśród towarzyszków chwalisz się tym, coś złego uczynił, a kryjesz i wstydzisz, jeśliś pomyślał jak człowiek. I z życia, i z poezji truciznę ssiesz jak pszczoła miód z kwiatu. Cierpisz nad cierpieniami świata, a silny ból zęba gotów jesteś okupić cierpieniem tysięcy, niewolniku bólu, psie, czujny na każdą zachciankę ciała.

I wleciesz swe życie niechlujne i nudne, bez myśli mocnej i czynnej, bez punktu stałego, gwiazdy przewodniej, idei szerokiej – wąskie i samolubne, i prawie zwierzęce.

I nie wiesz nawet, co jest tobą, a co obce tobie...

A czy pamiętasz owe marzenia chłopięce, dumne?

A czy pamiętasz to rwanie się wyżej, wyżej – na szczyty.

O sławie marzyłeś i ludzkość szczęśliwą widzieć pragnąłeś – i mówiono, że dzieckiem jesteś kapryśnym; ty czułeś, że dzieckiem być już przestałeś. A czy pamiętasz owe modlitwy młodzieńcze, natchnione? A czy pamiętasz legendę o bocianie i uśmiechy, i półsłówka – i szeptane, poufne zwierzenia rówieśników? I to, co piękne i tajemniczo święte jak nieśmiertelność życia – brudnym i śmiesznym, i nęcącym

grzechem się stawało.

I nieraz zwisało ci na ustach pytanie serdeczne, które ci chłodem niezrozumienia mrożono i jadem zepsucia w zawiązku zatruwano. Pamiętasz, jak byłeś zatrwożony, zraniony, gdy po raz pierwszy zrozumiałeś to, o czym starsi mówili, sądząc, że ich nie słyszysz lub nie rozumiesz? I gdyś ty świat reformował, bohaterów wzywał, przyjaciela szukał – kazano ci przynosić piątki z uwagi i algebry.

A wiara twoja wówczas się chwiać poczęła, gdy widmo nieznane, zrazu niejasne, przyoblekło się w formę cielesną i przerażało cię, i krew twą pić chciało, i zbliżało się krokiem miarowym, upartym; chłód konieczności powiał na cię. Czułeś, że odstępuje cię wszystko, co dobre, a otaczają złe moce i uciec nie możesz, bo drogi nie znasz, i nie ma kogo byś zapytał o drogę. Pamiętasz swą miłość pierwszą, czystą; pamiętasz dziewczę, które ci się w tęczy kolorach, jak święte, na krótką ukazało chwilę i znikło na zawsze? I przyszła kochanka pierwsza – druga – trzecia – czwarta – piąta – dziesiąta – płatne – widzisz ich twarze? Nie płaczesz, piękny młodzianie?...

Płynie echo wspomnień dziecięcych skargą bolesną, obłądną; płynie jak fala wielka, przejrzysta i otacza cię, i dech wstrzymuje w piersi, i serce zamiera w skurczu bolesnym. Drży struna wspomnień nutą jęśliwą i miast coraz ciszej, coraz głośniejszy dźwięczy, zawodzi żałośnie.

Gdyby posąg, który miał wyobrażać rysy szlachetne męża wielkiego, oszpecon sromotnie przez nieudolność jednych, przez

złośliwość nikkzemną drugich, gdyby posąg ten umiał czuć, a taką jak ty wolę posiadał, toby tak jak ty cierpiał i jak ty czuł żal i wstręt i stałby ułomny, i śmieszny.

Roślina, którą by wyhodowano w sztucznym świetle, ciepłe i sztucznej rosie, obrączkowana, karłowata, twoim byłaby obrazem. Ptak, który długą niewolą miałby połamane skrzydła, nie mógł wzlecieć i nie wołał o pomoc, bo nikt go nie usłyszy, do ciebie byłby podobny...

I pytasz – myślą bezradną:

„Co mętne jutro ze mną uczyni?...”

Nie wzywaj, mój kształtny ciałem, a duszą garbaty młodzieńcze, upiorów zamarłego dzieciństwa, nie wywołuj białych widm dawnych, poblakłych obrazów, marzeń twych młodocianych, modlitw i miłości białych bielą konwalii. Bo ci one myśl z orbity wytrąca, i błędzić pocznie, i jutrzni wypatrywać tęsknie, i ludzie orzekną cię obłąkanym. Nie ma, pomnij, ducha, jest tylko system nerwowy, i lekarze leczą ten duch – nerwy, ów mózg – sumiennie. Zażywaj brom, gdy ci myśli kłębić się poczną i szamotać, i w przeszłość rwać się, i ciągnąć ku marom smętnym i niepowrotnym. Niech przyjaciele kielichem i pieśnią, i żartem, i nocą bezseną – widma te o wielkich nieruchomych i pełnych wyrzutu oczach – odpędzą, dziewczyna pocałunkiem strąci westchnienie, krew gorąca wstęgą krwawej łuny oczy ci przepasze; ty patrzeć przestaniesz, myśleć przestaniesz i ukojenie znajdziesz... na chwilę.

Inaczej zbrzydzisz sobie życie. Zechcesz uciec, i nie będziesz miał woli ani w nim pozostać, ani je wyzwąć do boju; połamać cenne cacka, które zdobią twe biurko, ludziom prawdę mówić, płakać, kiedy chcesz płakać, nie kłamać ani śmiechem, ani ukłonem, ani pocałunkiem, nie zdobywać nic podstępem ni obłudą: ani życzliwości, ani wygod życia salonu.

Wzrął się w ciebie ten salon, w którym i dla którego wychowałeś się i dojrzałeś. Nie imaj się żadnej pracy dla ludzi, bo wszystko, czego się dotkniesz duszą zakażoną, tobie i ludziom na złe się obróci. Idź drogą udeptaną, bagnistą; wyzyskuj prostotę i słabość, i szczerość, korzystaj ze swej siły – i zrównoważysz się, ustanie ferment w twojej duszy.

Ożenisz się, będziesz miał dziecko; lekarz przyjdzie, zbada pokarm mamki; naciśnie pierś, obejrzy zęby i powie, że dobrą będzie karmicielką. Dasz lekarzowi pięć rubli, w kantorze zapłacisz dług, mamce obiecasz nową suknię na Gwiazdkę. Otoczysz nerwowe swe dzieci komfortem, córkę obwarujesz zgrają płatnych strażników cnoty, aby ją czystą ciałem dochować dla takiego, jakim ty jesteś i jakim syn twój będzie.

Nie przywiązuj się do nikogo, nie kochaj ani nauki, ani ludzi, i wyklnij wszystko, co białe i czyste w przeszłości twojej było – i może jeszcze część szczęścia utraconego odzyskasz...

I oto między myśli moje zwykłe, codzienne, wplątało się coś nieprzezroczyściego, z tępymi brzegami, jak gdyby łańcuch złożony z wielu ogniw, porzrzucanych w różnych punktach mego mózgu, na rozmaitych jego powierzchniach, a jednak

ciągły. Jak gdyby ten łańcuch poruszał się ruchem leniwym węża, a nie zwijał się w kłębek, tylko cisnął tam we wnętrzu czaszki, gdzie nie ma miejsca. I to mi ból nieznośny sprawia.

Poparzyłem sobie duszę wspomnieniami.

Precz

W dzieciństwie niegdyś.

Po przeczytaniu fantastycznej *Podróży naokoło Księżyca*⁴⁸ marzyłem nocami, że w kuli stalowej odbywam tę podróż...

Umilkły oklaski żegnającego tłumu.

Ziemia coraz szybciej zapada się, ucieka sprzed oczu. Kula stalowa pędzi szalonym lotem w górę – nic już jej nie powstrzyma.

Miasto coraz mniejsze, mniejsze – chmura mi je zakryła.

Cisza. Wielka cisza w bezruchu.

Już Ziemia złotą tarczą jest tylko, z plamami mórz i lądów, jak na ślepej mapie. A wokół czarno i zimno.

I nagle budzi się we mnie miłość Ziemi. Zatapia mię ból, kąsa tęsknota – zrywa się upiorny lęk przed tą samotnością w bezkresie.

Wrócić, wrócić!

Wrócić, rozbić się o skały, ale być trupem bezkształtnym – tam – na Ziemi – pośród swoich – tam, gdzie są wszyscy razem: mama, tatuś, Jadwisia i wszyscy ludzie...

Bezradny i drżący, tuliłem się, dziecko, do poduszki – i płakałem prawdziwymi łzami – i zasypiałem zmęczony.

⁴⁸ *Podróż naokoło Księżyca* – powieść pt.: *Autour de la Lune* Juliusza Verne'a (1828–1905), fr. pisarza uważanego za jednego z prekursorów fantastyki naukowej. Po polsku ukazała się pod takim tytułem w 1870 r. [przypis edytorski]

Była w tym dziwnym marzeniu potrzeba kochania, potrzeba męki i prorocza obawa samotności...

Znów, po latach, uczucie tej pustki ślepej, czarnej, niemej i groźnej – wskrzesło. Ogarnia, okraża, zatapia miarowo – ścisnęło tchawicę i dusi, i ssie chciwie...

– Skąd, dlaczego i po co? – pytam.

– Tak sobie. – Tylko – tak sobie. Nic więcej.

– Ja nie chcę. Ja muszę wiedzieć, dlaczego i po co?

– Tak sobie. Tylko – tak sobie.

– Ja nie chcę, nie chcę – nie chcę.

Uczepiłem się tej myśli kurczowo.

I strach paniczny. Pustka zimna, bezwzględna, silna – i jeszcze szydzi – i znęca się – i uśmiecha...

Powoli, skradając się, żeby nie widziała, otwieram szufladę i wyjmuję rewolwer. Powoli, skradając się, żeby nie wytrąciła mi broni, cicho przykładam go do skroni. Ona uśmiecha się i nie dowierza mi...

Serce bić przestało. Powieki zastygły nieruchomo w uroczystym oczekiwaniu cudu.

Na skroni chłodne kółko, które szybkim ruchem śrubowym wdraża się w czaszkę, nie sprawiając najmniejszego bólu.

– Już!... No już!... No, już.

Trzask tępy.

Przymykam oczy. Ręka opada bezwładnie. Dreszcz jak ołów przeszywa mi mózg, rozpryskuje się i spływa nerwami.

Tak cicho i dobrze.

Otwieram oczy. Oddycham głęboko. Zęby poczynają szczełkać. Przeżyłem śmierć i żyję. Dziwne. Chcę przełknąć ślinę, ale nie mogę. Drzę.

Bardzo przyjemnie – żyć...

Serce mocno tłuc poczyna w piersi; czuję mocne jego skurcze.

– Serce się cieszy, że bije.

Fala krwi gorąca, nie tak, aby ból sprawiała, ale się bieg jej znaczy drogą gorącą z piersi do skroni: czuję wyraźnie bieg krwi.

Chowam rewolwer do szuflady – mój pocziwy, mój dobry rewolwer, kładę go ostrożnie.

Chcę wstać z krzesła, ale nie mogę.

Dziwnie, bardzo dziwnie. Taka bardzo miła cisza. Taki bardzo równy płomień lampy. – Właściwie po co wstawać? Żeby położyć się do łóżka i odpocząć. – Czy jestem zmęczony?, – Tak, jestem zmęczony. – Czy bardzo zmęczony? – Oo, bardzo, bardzo. – No, to wstań: tylko powoli – żeby nie spłoszyć tego miłego, żeby nie urazić. – Oprzyj się ręką o stół. – Dobrze. – I do łóżka. – Dobrze. – Rozbierz się teraz – tylko powoli – wszystko powoli. I zgaś lampę. A może nie gasić? – Ee, lepiej zgaś. – A teraz okryj się kołdrą, bo ten zimny pot jest nieprzyjemny. – A może i przyjemny, bo chłodzi... – Prędko wystygł. – Kto wystygł? No – pot. Aha – tak – pot – ja wiedziałem, że on.

Dziwnie...

Trzeba leżeć mocno, bo łóżko się kołysze – dziwnie się kołysze.....

– Aa – aa – kotki – dwa.

Szare – bure – obydwu.

Nie, nie to... Tu będzie coś zupełnie innego...

I oto jasność oślepiająca.

I ukazuje się pierwszy obraz, a cały ich szereg, z ostrymi konturami, jak na ekranie. Są tu moje własne obrazy, a obce. Nie wiadomo, skąd przyszły i dokąd dążą, i czemu się tak śpieszą. Beładne, a mają jakiś przeczuwany związek, bo płyną tak bez wahania, bez wątpliwości – jakby na rozkaz. Coś niezależnie ode mnie się buduje – o! fundamenty jakiegoś gmachu – tworzy się coś, czego się nie domyślałam – zobaczę, czemu współdziałać ani czego powstrzymać nie mogę – nie chcę; coś się wznosi czy przetwarza pod ogromnym ciśnieniem, coś roztapia w silnym rozżarzeniu i zastyga – rozszerza, kurczy i przystosowuje.

Wszystko wiruje, ucieka, powraca, pozornie bez celu, a jednak tak właśnie być powinno...

Ależ nie... To przecież płatki śnieżne – padają, padają – białe, znajome – białe płatki – wspomnienia – białe, puszystym kobiercem wokół – ale nie patrzę – tylko na te, które padają, padają – białe, śnieżne...

Kto to?!... Czy on musiał?

– Nie chcę – boję się... Tak – to on.

Boże, ratuj mnie. Boże, wysłuchaj kornego sługi Swego...

Boże, zmiłuj się nade mną.

Zdrowaś Maria... Boże!... Błogosławionaś... Ja nie chcę!...
Boże!... Jezus Maria!... Ja nie – nie – nie!...

Poczwara toczy się ku mnie, przelewając na krzywych i anemicznych nogach – miękka, wilgotna i pulchna. Na wzdętym brzuchu wystaje brunatny pępek; piersi kobiece, obwisłe. Długie palce bez paznokci – jak macki. Twarz biała, zmięta. Niskie na centymetr czoło; nad nim białorude, twarde, ulizane, tłuste włosy. Z płaskiego nosa sączy się brudna, śmierdząca posoka. W oczodołach dwa mętne, wypukłe, zielonawoszare, bez powiek – wrzody.

Poczwara ma wyraz pożądania.

Zbliża się, kołysze na rachitycznych nogach.

Czuję już słodki, zgniły oddech upiora. Już jest przy mnie. Już mnie opasuje – zagarnia.

Jedną ręką odpycham, a drugą biję w piersi i w brzuch. Wewnątrz poczwary coś przelewa się i bulgoce. Jeśli ustane, ona przycisnie mnie do siebie i całować pocznie.

Stoi spokojnie – bez ruchu – patrzy się jądrami wrzodów ciekawie, pożądliwie – i uśmiecha się idiotycznym uśmiechem, sytym i lubieżnym.

Gdyby nie te oczy, mętne wrzody, i nie ten uśmiech – ja bym zmorę zmógł.

I plunałem jej w oczy, i drugi raz – w twarz.

I stała się rzecz straszna: zrozumiała!

Z wrzodów-oczu snują się łzy: cichy jęk, a na białych policzkach – sina plama rumieńca wstydu.

I męka targnęła trzewiami moimi.

– Przebacz – wołam. – Już teraz wiem!

Więc poczwara niewinna, tylko tak być musi...

He, he! Jeden człowiek majączy, a drugi i ten sam zarazem – błązen i sprawozdawca w jednej osobie – powieść chce o błaznie napisać.

He, he!...

W stajni cyrku stoi koń osiodłany; przy nim wołtyżerka. Ubrana w trykoty, w kołpaczku na bujnych włosach, z lśniąca przepaską; tyle mieniących się blaszek.

Tuli do twarzy łeb konia.

– Halim! prawda, że ty mnie nie zrzucisz? Prawda, że przeskoczysz? Halim, przeskoczysz – prawda? Będziemy razem, zawsze razem, wszędzie razem. Lubisz cukier? Ja ci zawsze będę cukier dawała. Nigdy nie będę cię biła, choćbyś był niegrzeczny, bardzo niegrzeczny... Ty jesteś mój dobry, mój kochany konik. Ty przeskoczysz, a później znów będziesz sobie odpoczywał... Tyś zazdrosny, Halim?... Więc ci przysięgam, na Boga ci przysięgam, że z nim nie pójdę, ani z nikim nie pójdę... Halim, dlaczego ty na mnie tak patrzysz? Dlaczego ty mnie nie wierzysz? Słuchaj, Halim, jakbyś mnie zrzucił, no to pomyśl, sam tylko pomyśl, co by się stało? Halim, prawda, że ty mnie nie zrzucisz?

Dzwonek.

A wuj pisał:

„Mam już 60 lat. Wszystko jedno, gdzie pochowają...”

Świeca dogasa w lichtarzu. Świeca się dopala. Knot się wydłużył i wysysa resztki brudnego tłuszczu. Knot się zapadł i wylizuje ostatnie krople. Płomień się chwieje i kopci... Zgaśnie?... Jeszcze nie: wystrzelił jaśniejszym błyskiem i skurczył się, i trzeszczy, i pryska... Zgaśnie?... Jeszcze nie. Znów wysunął się poza obręb lichtarza i liże ściany. Kołysze się, dojada brudny, zakopcony tłuszcz. Boryka się z niemocą i dławi.

Tragedia dogasającej świecy...

A królewna wyszła z kąpieli i położyła się nad brzegiem źródła, na słońcu, wśród lilii. I lilia zapłodniła królewnę. I urodziło się dzieciątko, królewna-lilia...

Idzie chłop za pługiem i orze. Kto orał pole? Pradziad, dziad i ojciec. Kto będzie orał pole? Syn, wnuk i prawnuk... A chłop idzie pochylony i krople potu z brunatnego czoła na czarną ziemię padają!... Pole duże, mały chłop. Chłop daje pot, a zbiera ziarno skąpe. Co chłop jadł w poniedziałek? Żur, kartofle na rzadko i na gęsto. Co jadł we wtorek? Żur i kartofle drewnianą łyżką. Co we środę? Żur i kartofle ze wspólnej miski. Żegna się nabożnie i je żur i kartofle siedm „raz” w tygodniu. Idzie chłop za pługiem – słońce pali. Koń, słońce, chłop, ziemia, śnieg, rosa i pług żelazny razem pracują na chleb czarny i na rozpustę miast. Ruszczyc⁴⁹ jest wielkim malarzem.

„Muzyka” znów dostał pałkę i ryczy. Ojciec go będzie znów

⁴⁹ *Ruszczyc, Ferdynand* (1870–1936) – polski malarz, rysownik i ilustrator, reprezentant symbolizmu. Do jego najśłynniejszych dzieł należy obraz pt.: *Ziemia* z 1898 r. przedstawiający chłopca orzącego pole. [przypis edytorski]

łoił. – „Jak nie przestaniesz piszczeć, za drzwi wyrzucę... Won! za drzwi”. – „Muzyka” – za drzwi – cieszy się wstępna klasa, i popychają go. Ostatni uczeń!...

Szelest jedwabiu jest bezmyślny; szelest jedwabiu jest tak bezmyślny, jak kosz kwiatów dla aktorki, jak szyld, gdzie z muszel od ostryg zrobiono napis: „ostrygi”. Ale z dźwięków szelest jedwabnej spódnicy jest najbezmyślniejszy; jest w nim wilgoć, egoizm i chłód!...

Urodziła suka-matka szczenięta pod płotem.

Suka stara, chora – z jednym okiem. Zawlokła się do zajazdu – gość rzucał kielbasę. Pochwyciła kielbasę zębami, chciwie – i nie może. I zawyła suka-matka. Rozgniewał się gość. Zrzucili sukę ze schodów – na śmietnik. I zdechła – trup – i trup suki-matki – i szczenięta-sieroty – pod płotem – i pisk szceniąt głodnych.

I płakałem. Dygasiński⁵⁰, pedagogu – poeto, czemu wycisnąłeś dziecku łzy, jałowe łzy, z oczu?...

Kamila siedzi na kolanach bankiera z blaszanką wódki we wzniesionej ręce. – „Za zdrowie mojej matki-ulicy i ojca-cyrkułu⁵¹. Śmierć filistrom⁵²”. Pijcie, chłopcy – Pupek płaci!”. Bankier patrzy nieufnie na obdartych przyjaciół z podmiejskiej karczmy. A oni krzyczą: „Niech żyje ulica, niech żyje Pupek!”.

⁵⁰ *Dygasiński, Adolf* (1839–1902) – powieściopisarz i pedagog, a także prywatny nauczyciel. Przedstawiciel naturalizmu polskiego. Autor m.in. noweli *Psia dola*. [przypis edytorski]

⁵¹ *cyrkuł* – posterunek policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

⁵² *filister* – człowiek bez wyższych potrzeb, ograniczony, mieszcuch. [przypis edytorski]

Kamila obejmuje mnie za szyję: „Tyś mój, tyś mój... synek”.
Całuje bankiera: „I Pupuś – **tysz**”...

Siada Ironia w czerwonym stroju trefnisia – siada na biurku;
zakłada nogę na nogę; puszcza kółka dymu z cieniutkiego
papierosa i raz po raz pryska mi w twarz śmiechem, i mówi:

– Tak, tak... tyś człowiek, człowiek, człowiek, król
stworzenia...

Można wymiotować wspomnienia... A rewolwer miał cztery
naboje... Dlaczego ten upiór nie był ubrany w zieloną jedwabną
spódnicę?...

Istnieje na świecie x szczęścia i x nieszczęścia. Kto bierze
szczęście – innym zostawia mniej...

Czy ja muszę tak myśleć, czy to jest błazeństwo, jak
wszystko... wszystko... wszystko?...

A czytałem w gazecie, że milioner zatrzasnął się we własnej
ogniotrwałej szafie-skarbcu i umarł tam – może z głodu?... I
czytałem, że chłop ma raka na języku; mieli mu język wyciąć.
– „No, powiedz coś sobie – coś ostatniego – w życiu – w całym
życiu”. A chłop powiedział:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”... Ostatnie słowa
w życiu...

Dlaczego na lipie dobrzyńskiej nie ma bocianiego gniazda?
Czemu lipa dobrzyńska smutna?... A Anielka za weterynarzem
– aż pod Uralem – daleko... Jak wygląda człowiek dojrzały,
którego nikt w życiu jeszcze nie pocałował – ale to nikt?...

„Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał”⁵³ – mówi Mickiewicz.

„Wiara i wiedza w najwyższej potędze są równie potrzebne, ale każda w swoim zakresie; wiara dla kierowania duszą, wiedza dla opanowania przyrody. Najuniwersalniejsza wiedza w służbie najgorętszej wiary – najskuteczniejsza umiejętność działania w służbie najszlachetniejszego charakteru – oto typ, co zawładnie ludzkością, bo któż się oprze takiej potędze?” – mówił Szczepanowski⁵⁴.

„Nie *credo* wyznawane w słowach, ale *credo* objawiające się w życiu – jest miernikiem i sprawdzianem religii każdego człowieka i każdej epoki” – mówił Szczepanowski – i zasiadł na ławie oskarżonych – fałszerz, oszust, szkodnik!...

– „Jestem naturą, nie mam sumienia, bo ona go nie ma”.

– „Dążenie jest bólem, a posiadanie nudą” – mówi Przybyszewski...

I tego siedzi we mnie tysiące. Każdy choć przez chwilę był moim bogiem...

Śmieszne: jeden **ja** majaczy, a drugi **ja** go obserwuje, żeby napisać powieść...

Dziewczę – dziecko, kocha się w nauczycielce, i oto klęczy

⁵³ *Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał* – słowa Starca z *Widowiska*, cz. I *Dziadów* Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

⁵⁴ *Szczepanowski, Stanisław* (1846–1900) – przemysłowiec, innowator (branża naftowa), działacz społeczny i publicysta. Usiadł na ławie oskarżonych, gdy Galicyjska Kasa Oszczędnościowa, finansująca jego działalność, ogłosiła upadłość. [przypis edytorski]

i modli się: „Niech ja będę najnieszczęśliwsza, byle ona była szczęśliwa”. I pisze pamiętnik: „Moja stokrotka była dziś smutna. Długo płakałam. Dzisiaj Mańka podawała jej palto, a jutro – moja kolej. I Zośka także chciała, ale dałyśmy jej odprawę, bo tylko małpuje. Kupujemy jej palmę; mam już trzy ruble z tego, co mama daje mi co dzień na ciastko. Boże, czy to nie grzech, że ja ją czasem więcej kocham niż rodziców?”.

– Tatuś ma rację – mówi matka.

– A gdzie tatuś ma rację? – pyta dziecko.

I dlaczego się mówi: „pogoda pod psem?”...

Zgubiłem duszę. Dziwne...

Zgubiłem nie pamiątkowy zegarek, nie cenne cacko, nie laskę ze srebrną rączką, ale zgubiłem duszę – zatrieciłem gdzieś siebie.

Ja – to nie ja.

Ja – to katalog czytelnicy, fonograf⁵⁵ kupiony na raty, z dokupywanymi coraz to nowymi sztuczkami, ja – to księgarnia; ja – to wszystko, co sobie kto życzy, byle nie taki ja jednolity, taki, który wie, skąd, dlaczego i po co, taki ja świadomy siebie, swych dążeń, myśli, czynów.

Ja – to Mickiewicz, Rozbicki⁵⁶, Żuławski⁵⁷ i Laskowski⁵⁸; ja

⁵⁵ *fonograf* – przyrząd odtwarzający głos, poprzednik gramofonu. [przypis edytorski]

⁵⁶ *Rozbicki, Soter Antoni* (1823–1876) – polski humorysta i facecjonista, do którego przyłączyła się łąka grafomana. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Żuławski, Jerzy* (1874–1915) – autor młodopolski, prekursor fantastyki naukowej w Polsce, katastrofista. [przypis edytorski]

– to Gawalewicz⁵⁹ i Żeromski⁶⁰, Tołstoj⁶¹ i Rodziewiczówna⁶², Bałucki⁶³ i Świętochowski⁶⁴, Andersen i Przybyszewski⁶⁵,

⁵⁸ *Laskowski, Kazimierz*, ps. *El* (1861–1913) – autor wierszy, żartów scenicznych, piosenek. [przypis edytorski]

⁵⁹ *Gawalewicz, Marian* (1852–1910) – twórca powieści obyczajowych, dramaturg, współwydawca i redaktor popularnych pism: „Tygodnika ilustrowanego”, „Kłósów”, „Kuriera Warszawskiego”. [przypis edytorski]

⁶⁰ *Żeromski, Stefan* (1864–1925) – prozaik, dramaturg, publicysta. Współtwórca i pierwszy prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich, w 1924 założył oddział polskiego Pen Clubu. Główna tematyka jego pisarstwa to krzywda społeczna, zacofanie cywilizacyjne warstwy chłopskiej, etyczny obowiązek walki o sprawiedliwość i postęp, więź z tradycją walki narodowyzwoleńczej, tematy historyczne związane z powstaniami, walka z rufyfikacją. Stworzył swoisty dla swego pisarstwa wzór bohatera, samotnego inteligenta-społecznika, który podejmuje zmaganie o dobro ogółu, a odrzuca przy tym szczęście prywatne. Napisał m.in.: *Popioły, Przedwiośnie, Rozdziobią nas kruki, wrony, Szyfowe prace, Ludzi bezdomnych*. [przypis edytorski]

⁶¹ *Tołstoj, Lew* (1828–1910) – rosyjski prozaik, dramaturg, myśliciel, krytyk literacki, publicysta. Jego dzieła wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej na początku XX wieku. Jeden z najwybitniejszych realistów, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość. Dzieła: *Wojna i pokój, Anna Karenina*. [przypis edytorski]

⁶² *Rodziewiczówna, Maria* (1864–1944) – pisarka pisząca zwłaszcza o życiu polskiego ziemiaństwa, prowadziła aktywną działalność społeczną. Dzieła: *Straszny dziadunio, Dewajtis, Lato leśnych ludzi*. [przypis edytorski]

⁶³ *Bałucki, Michał* (1837–1901) – autor powieści tendencyjnych i komedii przedstawiających życie mieszczaństwa w Galicji. [przypis edytorski]

⁶⁴ *Świętochowski, Aleksander* (1849–1938) – publicysta, literat, filozof, historyk, działacz społeczny doby pozytywizmu. Założyciel tygodnika „Prawda”, prowadził działalność społeczno-oświatową. [przypis edytorski]

⁶⁵ *Przybyszewski, Stanisław* (1868–1927) – pisarz, dramaturg, poeta, twórca manifestu Młodej Polski (*Confiteor*), jeden z pierwszych ekspresjonistów w literaturze

Nowaczyński⁶⁶ i Klementyna z Tańskich Hoffmanowa⁶⁷. Ja – to „powieści polskie oryginalne i tłumaczone” – z czterdziestu kopiejkami miesięcznie za dwie książki – i dwoma rublami kaucji.

Smutne – doprawdy smutne...

Zgubiłem duszę.

Zgubiłem nie mopsa ulubionego, nie kwit lombardowy, nie książkę legitymacyjną lub fotografię kochanki – ale zgubiłem własną swoją duszę.

A bez duszy przecież żyć nie można... Co to będzie teraz?...

Ja nie umiem duszy szukać.

Uczyli mnie szukać logarytmów i sodu w roztworze, i nerwów na trupie – ale jak szukać duszy, kiedy zaginie?...

Panowie! Ja proszę, żeby mi z duszy wyszli wszyscy, którzy tam siedzą: wszyscy wielcy i mali, mądrzy i mądrala, silni i słabi, dobrzy i źli, bohaterowie i niewolnicy, cynicy i zapaleńcy, szczerzy i obłudni, łajdacy i asceci – wszyscy – co do jednego.

Stańcie wszyscy długim, nieskończenie długim szeregiem, jak żołnierze na mustrze, stańcie ramię do ramienia. Może sobie

europejskiej, skandalista, członek cyganerii krakowskiej, redaktor krakowskiego „Życia”, artystyczny przywódca Młodej Polski. Pisał m.in.: powieści (*Dzieci szatana*, *Homo sapiens*), dramaty (*Śnieg*, *Matka*), poematy prozą, eseje, wspomnienia. [przypis edytorski]

⁶⁶ *Nowaczyński, Adolf* (1876–1944) – dramaturg, satyryk i publicysta słynący z ostrego pióra. [przypis edytorski]

⁶⁷ *Hoffmanowa z Tańskich, Klementyna* (1798–1845) – pisarka, pedagoga, tłumaczka. Pisała dla dzieci i młodzieży, założycielka i redaktorka pisma „Rozrywka dla dzieci”. [przypis edytorski]

jakoś poradzę.

Bo tak nie można. Bo w tym tłumie bezładnym stanowczo nie znajdę siebie – nic nie znajdę – a dłużej już tak nie mogę i nie chcę. Nie chcę – rozumiecie?

Tyle różnych, różnych dusz – a pośród nich zabłąkała się gdzieś moja jedna. Jak ja ją znajdę?

Proszę was, panowie, stańcie w szeregu – nie wstyďte się. – Widzicie – wszyscy mi w duszy wiercili, każdy tam coś zostawiał, przestawiał. Widzicie, ja was wszystkich z taką ufnością wpuszczałem. No, i coście zrobili? Mierzwiliście, gnoiliście mi duszę pod zasiew życia – ażeście mi ją zaśmiecili – i krzywda mi się stała.

Nie myślę wam czynić wymówek. Byli wśród was i tacy, którzy dobrze chcieli. Wyście – niektórzy – rolę użyźniali: życie miało siać.

Otóż to właśnie: życie miało siać. Może by i dobrze było. Ale rodzice nie pozwolili siać, nie pozwolili żyć.

– O, masz tu, synuś, ciasteczko. Masz, synuś, czystą chusteczkę do nosa. Nie wychylaj się, dzidziuś, przez okno, bo wylecisz; nie biegaj, aniołku... Masz tu, synku, wykształcenie. Masz, kochanku, dyplom... O, masz, złotko – dziewczynę: bądź sobie trochę świnia, pobaw się trochę, młodość musi się wyszumieć. Synuś, masz tu protekcję, posadę, stanowisko – pozycję w świecie, kochasiu. Widzisz, jacy my dobrzy: wszystko ci dajemy, o wszystkim pamiętamy. A kochasz ty nas – co? – daj buzi... A teraz, synuś, masz żonkę – widzisz: i o żonce

pomyśleliśmy. A teraz weź żonkę pod pachę, ruszaj z nią do sypialni – i teraz sam już będziesz robił dzieci – musisz sam – nie ma rady. A czy potrafisz?

– Oj, oj, tatusiu! Dobrze.

– A kto cię nauczył, hultaju – co?

– Sam z siebie, tatusiu.

– A... ty... ty... łobuzie jeden...

I tatuś się śmieje. I synuś tatusia pac! w rączkę, i mamusię pac-pac! w rączkę. A oni mają w oczach łzy rozrzewnienia... Udał im się: porządny chłopiec...

A mnie znudziło przedstawienie i nie chciałem takt w takt, na komendę. Nie stanąłem, broń Boże, dęba, nie kopnąłem pogromcy. Tylko opuściłem łeb w ziemię i nie chciałem więcej – i tak bardzo się na mnie rozgniewano...

Oj, za długo żyłem w smrodzie bezpłodnych marzeń, jałowych łez nowelkowych i cyrkowych, popisowych czynów... Więc otwieram duszę na oścież i powiadam:

– Precz!

Zrzucam z pyska kaganiec i biegnę w świat **siebie** szukać.

A wam wszystkim powiadam mocne i stanowcze:

– Precz!

Dość kompromisów z wami i z sobą – dość.

– Precz! precz! precz!!!

Świta. Dzień.

Notatka późniejsza:

Urywek ten daje bladą obraz tego, com przeżył owej nocy.

Niezmierne ciśnienie, pod którym odbywał się cały proces myślowy – nie może być oddane w tłumaczeniu na mowę. Notatki tej nie chciałem przerabiać, gdyż utraciłaby wartość dokumentu, niewiele zyskując na sile.

Uwaga ta dotyczy wielu miejsc moich „materiałów”.

Bez steru

Przez ostatnie trzy dni jadałem obiady w swoim pokoju, z którego prawie nie wychodziłem. Byłem bezgranicznie znużony. Leżałem na łóżku w ubraniu i drzemałem. Nie obchodziły mnie nawet szeptane narady mamy z Jadzią: co robić? Wiedziałem, że się naradzają, ale bez ojca nic nie chcą przedsięwziąć. O tym myślałem jak o czymś dawno gdzieś czytany.

Wczoraj przed wieczorem wszedł ojciec. Usiadł na brzegu łóżka i niespokojnym, choć umiarkowanym głosem zapytał:

– Janku, powiedz mi, co ci jest. Ty musisz być chory?

I nagle oczy napełniły mi się łzami.

Otworzyłem prędko szufladkę nocnego stolika i powiedziałem, siłąc się na spokój:

– Jeśli ojciec chce wiedzieć, to tu jest **wszystko**.

Niech się już raz skończy.

Czułem, że nie mogę z nim mówić, bo się rozplączę; chciałem za jaką bądź cenę zwrócić jego uwagę w inną stronę, aby nie spostrzegł.

Wyjął papiery moje z szufladki, położył je na oknie, przysunął krzesło, nałożył binokle, usiadł i przerzucał. Nasamprzód szybko przerzucał kartki, nagle się zatrzymał i czytał wolniej, coraz wolniej, jak gdyby słowo po słowie, rozważając czy z trudem odczytując niewyraźne pismo.

Mijały długie minuty. Z salonu dobiegały przyciszone tony

wygrywanych przez Zocheę etiud.

On coraz bardziej nachylał się nad zeszytem, bo zmrok zapadał.

Pode drzwiami rozległ się szelest, mama, zaniepokojona ciszą, zaglądała zapewne przez dziurkę od klucza.

Wstał, zamknął drzwi na klucz, zapalił świecę i czytał dalej.

Leżałem nieruchomo, z zamkniętymi oczami, bo obawiałem się spotkać z jego wzrokiem. Czułem, że go lżę każdym wyrazem, czułem, że go policzkuję, że tu cisza, tam etiudy Zochy, a w duszy jego burza.

Biedny!

Czytał. Trwało to bajecznie, nieprawdopodobnie długo.

Wreszcie poruszył się. Patrzy na mnie. Otwieram oczy.

– Słuchaj, Janek: czy... to, co ty tutaj... to powieść... czy tak... naprawdę?

– Naprawdę.

Usiadłem na łóżku. Chcę mówić.

On tarł czoło. Potem uderzył palcem w stół kilka razy – jak wtedy w szybę – i natychmiast spojrzał na mnie bojaźliwie, jak dziecko, które spocilo i nie tyle się boi, ile wstydzi. Znów lży mi się cisną do oczu.

Znów długo trwa dławiąca cisza. Otwiera usta, ale nie mówi nic.

– Bo widzisz... owszem... to bardzo dobrze, że ja już teraz przynajmniej wiem... Tak... że ja już teraz wszystko wiem.

Chce powiedzieć coś jeszcze, chce dużo mówić. Zbiera

rozpierzchłe myśli.

– Bo ja, proszę ojca, właściwie... Ojciec ma do mnie żal.

– Nie, ja wcale nie mam do ciebie żalu... Owszem, to bardzo dobrze, że ja przynajmniej teraz już wszystko rozumiem.

– No tak, ale ojciec ma do mnie żal... Ale ja nic nie mogę poradzić... Ja nie chcę łaski, bo to mnie poniża... Ja nie chcę być ojca utrzymanką, bo to mnie poniża... Ja chcę sam na siebie zarabiać... Ja chcę pracować.

Ocknął się.

– Ano tak... Ale matka będzie pewnie chciała... to ty nie zwracaj na to uwagi... Tak będzie najlepiej... Już ja wszystko sam...

Pochwycił mnie za rękę.

– Tylko musisz mi przysiąc, że nie będziesz znowu próbował... Rewolwer zostawisz, a ja ci już sam wszystko odeślę... Ja się na wszystko zgadzam, tylko ty musisz mi dać słowo... Co?

– Dobrze.

– Jak zobaczysz, że **nie**, to wrócisz?

– Dobrze.

Pocałowałem go w rękę.

– No to już idź... Idź prędzej... mój kochany... Gdzie masz palto?

Bezradnie, niezgrabnie plątał się po pokoju.

Przeprowadził mnie na schody i szybko cofnął się do mieszkania...

Stanąłem na ulicy – na rogu.

Co u licha?

Patrzę na trzy rzędy kamienic i nie wiem, dokąd iść.

A może tak dojść do stójkowego i powiedzieć:

– Proszę pana. Ja się nazywam Janek. Ja wyszedłem z domu i zabłądziłem. Mój tatuś ma fabrykę. Niech mnie pan odprowadzi do mamusi, tatusia, Jadzi, Zosi i do naszej papugi.

Janka w cukierni jeszcze nie było. Teraz przychodzi dopiero około dziesiątej.

Miejsce starego Wenera puste: umarł. Jeszcze na dwa dni przed śmiercią odgrażał się kelnerom, że jeżeli mu nie zamówią „Kolców”⁶⁸ i „Roli”⁶⁹, to przeniesie się do innej cukierni.

Pan radca mile mnie wita. (Tu wszyscy są radcami).

– O, kochany partner. – Już z podróży? – Zagramy?

Rozstawiamy szachy.

– No jedź pan... Teraz ja... Ano, dobrze... O, ho, ho... Ślicznie... A to znowu co?... Niech mu będzie. – Już poszedł... Pan tak?... Co, już szach? – Ano, szach, to szach... Znowu szach?... A to z pana, proszę pana – no, no!... Dajesz pan konia? Czemu nie? – O, zaraz luźniej. – Za gorąco pan gra...

Przegrał.

– Głupia partia – mówi radca. – No, jeszcze jedna... Napije

⁶⁸ „Kolce” – tygodnik ilustrowany o charakterze satyrycznym wydawany w Warszawie od 1871 r. Z pismem współpracowali m.in.: Adam Asnyk, Bolesław Prus, Janusz Korczak. [przypis edytorski]

⁶⁹ „Rola” – warszawski tygodnik społeczno-ekonomiczny wydawany w latach 1883–1912. Publikował treści zachowawcze, a także antysemitki. [przypis edytorski]

się pan? – Hej, chłopiec, dwie czarne.

Audytorium, pół siwe, pół łyse – spiera się o rozegraną partię.
Wchodzi Janek, spostrzega mnie:

– Patrzcie tylko, moiściewy... Myślałem, żeś już kopyta wyciągnął... Gdzieś był?... Wiesz: robię w cukrze. Pieniędzy, powiadam ci, jak lodu... Masz czas?

– Słuchaj no: musisz mnie przyjąć u siebie.

– Jużeście sobie znowu ze starym na mordy wleźli?

– Ano trochę.

– To ślicznie: nie dajmy się, powiadam... Poczekaj no: jak to będzie po czesku?... Słuchaj: jeden bilardzik – i na przepalankę⁷⁰.

„Matka w różek... Córeczka w boczek... Dublik... Chlapanął... Panienczka do środeczka... Ma go”.

Ogarnia mnie po chwili to nasze miłe, swojskie, senne, kojące i na wskroś warszawskie – owo:

„I znów dzień przeszedł”.

I zrywa się z uczuciem ulgi kartkę ze ściennego kalendarza...

Wróbel. – Przepalanka. Dwie kielbasy. – Wszystko jak przed rokiem. – Śmieszne, że mnie to dziwi.

– Powiadam ci – zapala się Janek – palce lizać. Mała, czarna – a jak zbudowana – a co za ciało, powiadam ci – co za ciało. – Idę z Felkiem – (poznasz go) – przez Marszałkowską... Zaraz przeniuchałem, że nietutejsza. – On mówi: „Nie zawróć sobie łba”. – Dobrze, zobaczymy. – Nie chciał wierzyć... Ale teraz już

⁷⁰ *przepalanka* – wódka z dodatkiem karmelu. [przypis edytorski]

wierzy i łązi z wywieszonym ozorem, aż ją puszcze kantem... Ale... ale: patrz no, co za pocztówki wspaniałe. Widzisz? – O ta... albo ta... Cywilizuje się Warszawa – coo?...

Janek – towarzysz wspólnych zabaw z „Saksy”⁷¹. – Matka ich miała sklep jubilerski obok naszej perfumerii. – Mieli bardzo surową bonę – Niemkę. – Raz zerwałem różę z klombu i przyniosłem jego siostrze – Wańdzi. Niemczura kazała jej za karę wziąć różę w piąstkę i ścisnąć. Kolce wpiły jej się w ciało i krew koralami spływała z palców. Cicho powiedziała mi przez łyzy: „To nie boli, Janku – to nic”. – Wyszła za męża za starego, potem uciekła z młodym – ostatecznie „puściła się”.

– Kelner, jeszcze karafkę przepalanki.

– Słucham pana.

Rojno, gwarno, kojąco.

– Słuchaj no, tworze ojcowski i boski – o coś się pożarł ze starym?

– Mniejsza o to.

– Ja przynajmniej, świeć Panie nad jego grzeszną duszą i innymi częściami jego ciała i garderoby, nie mam ojca... Tylko słuchaj: musisz się meldować. Bo stróż strasznie zażarty na nasz czwartak. Bo od czasu jakieśmy się dowiedzieli, że szpicel – bojkotujemy go z dychami. – Z początku nie chciał „kobiet” puszczać, aleśmy mu obiecali gratisowe mordobicie – i spotulniał. – Poznasz kapitalnie ciekawą sztukę: „Rozkraczajkę”.

⁷¹ *Saksy* – Ogród Saski. [przypis edytorski]

Mówię ci: boki zrywać. Niewinny, że Longinus⁷² – pies przy nim.
– Farmak⁷³. – Na pamięć umie pół *Tadeusza*. – Kpimy z niego
na potęgę. – Kefir pije. Poznasz całą paczkę. – Kapitalnie wesoło
u nas...

Sądziłem, że gdy powiem łodzi mego życia:

„Płyn bez steru” —

łódź popłynie, wartkim prądem niesiona – daleko – gdzie
jasno i czysto.

I odetchnę powietrzem lasów żywicznych i pieśni słowiczych,
i wietrzyk czesać mi będzie włosy, i gładzić czoło, i całować
usta...

Nie ma lazurów!

Opuściłem dom rodziców, jak się opuszcza hotel, gdzie
gospodarz za drogie pieniądze dał nocleg z pluskwami –
szukałem.

Nie ma lazurów – nic nie ma...

I czegoż ja szukam?

Kłamstwo, płacone miesięcznie albo od wiersza.

Kłamią po pięć, dziesięć, piętnaście centów albo kopiejek
od wiersza. A za guldeny⁷⁴ lub ruble stawiają kolację, płacą
zaległe komorne, kupują kapelusz żonie albo nie żonie. A że tam
gdzieś rozplomienią duszę sztubaka lub rozkołyszają wyobraźnię

⁷² *Longinus Podbipięta* – bohater *Trylogii* Henryka Sienkiewicza przestrzegający kodeksu rycerskiego. [przypis edytorski]

⁷³ *farmak* – student farmacji. [przypis edytorski]

⁷⁴ *gulden* – złota lub srebrna moneta. [przypis edytorski]

penjonarki – to nic – to przejdzie – kto by tam na to zwracał uwagę?

Każdy być musi choć rok, choć miesiąc – „taką altruistą”, „taką namiętną idealistą”, co wierzy i pragnie świat reformować.

I czegoż ja tu, u diabła, szukam jeszcze?

*

Na czwartaku panuje wszechwładnie dowcip, polegający na tym, że przy czytaniu drobnych ogłoszeń kuriera dodaje się wyrazy: „z przodu” i „z tyłu”.

Szwaczki bardzo się śmieją – i my także. Rozkraczają się gniewa.

Byłem w kantorach i kurierze: ani jednej oferty.

Ojciec przysłał mi rzeczy.

Zastawiam...

Słyszałem taki urywek rozmowy prowadzonej między kasjerką i chłopcem – w cukierni:

– Pani jest bardzo samolubna.

– A skąd pan to może wiedzieć?

– Bo samolub to jest w ogóle taki zarozumiały człowiek, że jest zupełnie pod każdym względem niemożliwy.

– O, to pan się myli, bo ja jestem tylko rozgoryczona.

– O, nie, proszę pani. Ja się w ogóle znam na ludziach. Człowiek, który się rozgoryczył, to go już nic w ogóle nie weseli. A pani zupełnie przeciwnie.

Chłopiec się kocha, a ona kpi.

I kto by pomyślał, że ten chłopiec w białym fartuchu, który podaje „jedną białą” lub „dwie czarne” – ma swój własny pogląd na rozgoryczenie i swoją własną miłość.

Zupełnie tak samo jakby dorożkarz miał duszę lub szwaczka pisała wiersze, lub służąca miała narzeczonego.

*

Spotkałem moją pierwszą nauczycielkę – pannę Bronisławę:
– Ach, jak to dobrze, że ciebie spotykam. Może wiesz, jakie są książki we wstępnej klasie w czwartym gimnazjum, bo nie wiem, czy z Jewtuszewskiego⁷⁵, czy z Wiereszczagina⁷⁶? Dostałam lekcję u tego krawca. Musisz wiedzieć: to taka znana firma. Ale prawda: co ty już doktor? Nieee? Więc wyrzucony? Wdałeś się w co? Może gryzipiórkiem chcesz zostać? Pamiętasz swój wiersz na śmierć Wisnowskiej⁷⁷:

Umarłaś w kwiecie życia swego,
Zraniłaś wiosnę życia mego —?

⁷⁵ *Jewtuszewski, Wasilij Adrianowicz* (1836–1888) – ros. pedagog i metodyk, autor zbiorów zadań matematycznych. [przypis edytorski]

⁷⁶ *Wiereszczagin, Iraklij Pietrowicz* (1846–1888) – ros. nauczyciel matematyki, autor podręczników do trygonometrii. [przypis edytorski]

⁷⁷ *Wisnowska, Maria* (1861–1890) – polska aktorka teatralna, zastrzelona w Warszawie przez kochankę, oficera gwardii carskiej. Na kanwie tej historii powstało wiele utworów literackich. [przypis edytorski]

Widzisz: sam się teraz śmiejesz. Każdy pisarz, co napisze, to się potem z tego śmieje. Miałam niedawno podobnego ananasa: syn fotografa. Ten znowu pacykował, a na egzaminie **wieleli**⁷⁸ napisał pierwsze **jat**⁷⁹, a drugie – **je**. Wiesz: ciocia Rogowska umarła. – Eee? Jadzia się zaręczyła? Z kim? – Słuchaj: nie rzucaj ty medycyny. Może się zakochałeś, jak ten Korycki – musiałeś słyszeć o nim?... Skończył z medalem w Moskwie i coś mu do głowy strzeliło: ożenił się z jakąś praczką czy coś takiego, a teraz siedzi gdzieś pod Radomiem czy Kielcami i wstydzi się nos w Warszawie pokazać.

I podreptała dalej.

I znów wir myśli, wspomnień, obrazów i tematów.

Czy ja się wezmę do pisania? Tak mi się nic nie chce. Z trudnością zmuszam się do robienia notatek, ale się to kupy nie trzyma.

Żeby tak kondycję⁸⁰, gdzie na wsi...

Czytałem w jakimś francuskim romansie, że są trzy rodzaje samobójstwa: ostre, chroniczne i jedno tylko śmiertelne. Moje ostre przeszło w stan chroniczny.

„Korepetytor z francuskim i niemieckim poszukuje kondycji

⁷⁸ *wieleli* (ros. *велели*) – zamówili. [przypis edytorski]

⁷⁹ *jat'* (ros. *Я́т, Ът*) – litera starej cyrylicy, złała się całkowicie z e. Jej obecność w ortografii XX w. wynikała z wpływu języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, który był językiem liturgicznym. [przypis edytorski]

⁸⁰ *kondycja* – posada nauczyciela domowego najczęściej związana z wyjazdem na wieś. [przypis edytorski]

na wyjazd”.

Teraz nie dostanę już, bo późno.

Tfu! jak mi podle.

Grzech marzyć

Na płowym niebie rosa gwiazd.

Zadumana noc lipcowa – wiejska, rzewna – nuci tęskną kołysankę.

Zadumała się dziewczeczka – dziecko nieledwie – patrzy w niebo i szepcze:

– Kocham... kocham...

Kogo kochasz, maleńka?

– Nie wiem... Ale kocham, bo muszę; bo mi ktoś kochać każe, a nie wiem, kto...

Zadumana noc lipcowa – wiejska, rzewna – nuci tęskną kołysankę.

Zadumało się chłopię – dziecko nieledwie – patrzy w niebo i szepcze:

– Kocham...

Kogo kochasz, chłopcze – dziecię?

– Nie wiem... A kocham, bo muszę; bo mi ktoś kochać każe, a nie wiem, kto...

Płyńcie ku mnie, wspomnienia mojej pierwszej miłości – niezabudki – może zapłaczę...



Stryj mój był dozorcą w Dobrzyniu.

Nie ożenił się, opiekował się „całym światem” i mówił prawdę w oczy.

Latem domek jego przy plancie podobny był do ula.

Kiedy czternastolatkiem spędzałem tam wakacje – w trzech jego pokojach mieszkała wdowa po dozorczy z dwojgiem dzieci, żona chorego umysłowo telegrafisty z dzieckiem, staruszka – matka maszynisty, chora na oczy – i Anielka. Stryj i ja zajmowaliśmy komórkę.

Prócz tego domek stryja był punktem zbornym i miejscem odpoczynku w czasie polowań i letnich wycieczek młodzieży ze stacji.

(Podobno taki był dwór dziadka, dopóki zrujnowany przez „nowinki chłopskie” i życzliwych sąsiadów – w łeb sobie nie strzelił. Groźny przykład nie nauczył stryja, jak żyć należy).

U stryja „przewróciło mi się w głowie” – twierdzili rodzice moi i mieli słuszność: tam nauczyłem się kochać...

Pokochałem Anielkę, stare meble z wytartą ceratą, dobre oczy i długie kosy Anielki, cmentarz wiejski z kaliną i brzozą i mogiłą ojca Anielki, i lipę z bocianim gniazdem, biały fartuszek i skromną sukienkę Anielki, siwą sukmanę chłopa, śpiew chłopski w wiejskim kościółku i jego: „Z Bogiem, panocku”. Pokochałem szosę wyboistą i rozmowy, które z

Anielką prowadziliśmy, idąc szosą do zmurszałego krzyża i z powrotem – i pokochałem ten krzyż pochylony i czarną ziemię, i stary podarty album z wyblakłymi fotografiami, i poźółtkę domino, w które grywaliśmy, i niezdarną Walerkę, która „okrutnie lubiła gości, ale jak dużo było, to jej się wszystko z paliców wysowało”. Pokochałem długie baję starszego robotnika i jego rude wąsy, lokomotywę – kobyłę i dreżynę, mruczenie kota przy piecu, lasek brzydki sosnowy i słońca zachód, i gościnność stryja, i niewymyślne dowcipy kolejarzy – i Anielkę, której matka umarła na suchoty, ojca przejechał pociąg, gdy wracał plantem do domu – pijany, i stryj mój wziął ją czteroletnim dzieckiem do siebie, na własność, i był dla niej bardzo dobry.

Bywało, księżyc świeci jasno, druty telegraficzne śpiewają swą tajemniczą pieśń, a my siedzimy na ławce pod lipą, słuchamy, milcząc. Ona gładzi główkę któregoś z dzieci wdowy, trzymając je na kolanach – ja myślę: czy wyznać jej miłość?

Nagle szyny poczynają drzeć, z hukiem przebiega pociąg, maleństwo objaśnia sennym głosem: „to extla przejechała”.

– Bywało, Anielka uczy dzieci, a ja przerzucam stare roczniki „Kłósów”⁸¹ i słucham, co mówi, i cieszę się, gdy malcy odpowiadają rozumnie i czytają płynnie, i niecierpliwie się, gdy które dłużej się namyśla nad odpowiedzią lub źle czyta.

Bywało, patrzymy na zachód słońca, a gdy ostatni rąbek słońca glinie, Anielka westchnie, i mnie się tak smutno robi, bo

⁸¹ „Kłósy” – tygodnik ilustrowany poświęcony sztuce i nauce. Wychodził w Warszawie w latach (1860–1890). [przypis edytorski]

myślę, że ona nie będzie szczęśliwa, i łązy nabiegają do oczu, i chcę jej powiedzieć, że kocham, i boję się, by jej nie rozgniewać.

Idziemy plantem i ona mówi, że stryj mój jest bardzo dobry i że to wielkie szczęście mieć rodziców, i pyta, czy mama mnie całuje na dobranoc.

I ostatni wieczór przed moim wyjazdem, i mój wyjazd... Druty i słupy tak smutnie huczały.

Prosiłem, żeby stała przed domem, gdy będę przejeżdżał. Napisałem na kartce, że ją kocham, że nie jestem godzien jej miłości, „ale zrobię coś takiego, że będę godzien, i wtedy rzucę swe serce pod jej stopy; że kobiety są niestałe i zmienne”. Miałem rzucić tę kartkę z okna wagonu, ale bałem się, by jej nie obrazić – i nie rzuciłem listu z „wyznaniem”.

Ludzie lubią poczciwców, ale nie lubią **prawych**. Stryj był prawy. Więc rozgniewał doktora, gdy go od kart odciągnął do dziecka dróżnika, i księdza, i tych wszystkich, którzy korzystali z jego gościnności, i podwładnych, i przełożonych. A gdy naczelnik jakiś zażądał trzysturublowej pożyczki, a stryj odmówił – został dozorcą, z większą nawet pensją, ale na Kaukazie.

„**Mnie** już sześćdziesiąt lat” – pisał stryj przed rokiem... Anielka wyszła za mąż za weterynarza; a lipa dobrzyńska smutna...

Wspomnienia odżyły, gdym spotkał Wacka. Wacek miał wówczas poprawkę z geografii i ja go uczyłem. Śmieszny Wacek, któremu psuto „jeża” i proponowano obcięcie uszów, żeby ojciec

nie miał go za co ciągnąć i żeby uszów myć nie potrzebował, śmieszny swą dumą uczniaka i syna zagonowego szlachcica, śmieszny Wacek – studentem.

Nie poznałem go; on mnie poznał i wstydliwie mi się przypomniał.

Mieszkam u niego od dwóch dni. Opowiada mi o Dobrzyniu, i tak mi smutno, ale dobrze. Jest taki czysty, młody, świeży – ze swym blond jeżem i niebieskimi oczami, i mocną ręką, która i pług nieraz, i cep, i kosę trzymała. Mówi mi „pan”, nie chce się nawet zgodzić na: „kolego”.

– Przecież panu wszystko jedno, a mnie tak jest zręcznie – powiada.

*

Wacek jest wstrętny.

Wstaje o wpół do ósmej i z wielkim hałasem czyści sobie rzeczy. Potem myje się, czesze, ubiera, klęka i modli się. Zawiesił nad łóżkiem obrazki i co dwa dni patrzy, czy nie ma pod nimi pluskiew. Wychodzi punkt o kwadrans na dziewiątą. Ani jednego wykładu nie opuścił jeszcze. Stołuje się w kuchni studenckiej; potem ma jakieś dwie lekcje. Wraca punkt o siódmej; chwytą za kości i atlas i mruczy pod nosem do dziesiątej. Potem nastawia maszynkę, o ile gospodyni nie zaprosi nas na herbatę; Wacek dostaje wówczas do herbaty łyżkę soku malinowego, ja – nie.

Gospodyni nasza bardzo się nim opiekuje, temperując go na męża dla swej najmłodszej z trzech dziewczic. Najstarsza ma lat trzydzieści; nie lubiła poezji, ale od czasu jak El zaczął pisać, najbardziej kocha wiersze. Średnia jest damą klasową; życie jej się sprzyrzyło i zrobiłaby ze sobą koniec, gdyby to nie był grzech. Przyszła małżonka Wacka, *resp.*⁸² pani Waławowa, pani doktorowa – chodzi do konserwatorium i gra pięć godzin dziennie na fortepianie.

Drugi pokój odnajmuje od zacnej emerytki eks-adwokat – tabetyk⁸³. Chętnie częstuje mnie papierosami, byle mógł opowiadać mi o żonie, która go z „córeczkami” opuściła teraz właśnie, kiedy on jest chory z pracy, i nieszczęścia do reszty zwały go z nóg. – Mieszka z synem, śniadym siódmoklasistą, Bronkiem.

Rozmawiałem z Bronkiem kilka razy. Przeczytał w jakiejś broszurce, że ojcu grozi obłąd, że jest to choroba dziedziczna – i postanowił zrobić tak jak ten – z *Nory* Ibsena⁸⁴. Biedny chłopiec!

...

⁸² *respective* (łac.) – względnie. [przypis edytorski]

⁸³ *tabetyk* – człowiek cierpiący na uwiad rdzenia kręgowego w wyniku zakażenia kiłą, które prowadzi również do zaburzeń psychicznych. [przypis edytorski]

⁸⁴ *Ibsen, Henryk* (1828–1906) – dramaturg norweski. Początkowo tworzył utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu oraz symbolizmu. Dzieła: *Grób Hunów*, *Nora czyli dom lalki*, *Dzika kaczka*, *Kobieta morska*. [przypis edytorski]

*

Stanowczo długo tu nie wytrzymam. Wacek drażni mnie niemożliwie ze swym:

– Kolego, proszę pana, niech mi pan nie przeszkadza, bo się muszę uczyć.

Albo:

– Kolego! mówiłem już panu, że nie znoszę żartów z siebie. Pan może być bardzo mądry dla siebie, a ja chcę być głupi dla siebie.

Cynicznie zrównoważony, prowincjonalny medalista.

*

Ulica Marszałkowska. Ponury ranek jesienny.

Skończyło się panowanie prostytutek nocą; dzieci idą do szkół.

Idą.

Idą pojedynczo, po dwoje, po troje – chłopcy, i dziewczęta – starsze, młodsze, najmłodsze – w nowych lub zrudziałych tornistrach – i ledwie od ziemi odrosłe – w szubkach⁸⁵ albo szynelach⁸⁶ na wyrost.

⁸⁵ *szubka, szuba* – długie wierzchnie okrycie, często podszyte futrem. [przypis edytorski]

⁸⁶ *szynel* – płaszcz o charakterystycznym kroju noszony w XIX w. i na początku XX

A nad dziećmi wąski pas kirem chmur zasnutego nieba, na które nie patrzą, a pod stopami wilgotne błotem kamienie.

Idą drobnymi, szybkimi krokami – młodsze, i poważnie, ociężale – z klas wyższych. Mijają się, krzyżują, prześcigają, spotykają – witają podaniem ręki – chłopcy lub pocałunkiem – dziewczęta, i idą razem, mówiąc o lekcjach dzisiejszych, klasowym zadaniu lub ostatnim w tym kwartale dyktandzie.

Idą – objęte wspólnym mianem „młodzieży szkolnej”, która ma ulgi w tramwajach.

W czapkach z różnymi znaczkami, w kapturkach i kapeluszach, przybranych wstążką, piórkiem, puszką, w kaloszach lub bez kaloszy, zapięte na wszystkie guziki lub tak tyllko sobie – byle z domu prędzej wyprawić.

Idą do szkół – ze wszystkimi lub niektórymi tylko prawami, do pierwszo- lub drugorzędnych, do renomowanych i mało lub wcale nie znanych. A każde ma kogoś, kto mu do tornistra włożył bułkę lub dwie bułki, z wędliną lub pieczenią od wczoraj, kto wpis opłaca i w domu pyta o stopnie – i mówi: „ucz się”.

Idą – o włosach jasnych i ciemnych, ładne i brzydkie; podobne do mamy lub taty, takie, które „nos szpeci lub oczy zdobią, usta mają za szerokie lub gryzą paznokcie”. Idą dzieci paralityków, głupców, suchotników, ideowców, kokot salonowych, rozpustników, lichwiarzy, fabrykantów. Idą – których lekarz nie pozwolił forsować, idą za wcześnie lub za późno oddane do szkoły, pierwszo- i drugoroczne, które trzeba

prosić, aby jadły, które tran piją, które stanowią całą, pół lub ćwierć pociechy rodziców – i półsieroty – i sieroty...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.